



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Piotr Chmielowski.

Nasza krytyka literacka

W WIEKU XIX-ym.

(Dalszy ciąg)

I.

Krytyka pseudoklasyczna w XVIII-ym w.

Znamiennym jest fakt, iż pierwszym krytykiem naszej literatury nie był Polak, lecz Niemiec, poddany państwa polskiego, Dawid Braun, który historyków, polityków i prawodawców naszych poddał na początku XVIII wieku surowej ocenie. Dopiero jakby ośmieleni przezeń, powstał nasi krytycy rodowici.

Na ich czele kroczy *Stanisław Konarski* (zm. 1773), ten sam, co również w sprawie wychowania wziął inicjatywę. Ponieważ ze wszystkich rodzajów literatury, wymowa znajdowała się w najgorszym, najniebezpieczniejszym stanie, od niej więc rozpoczął swą reformatorską działalność. W książce ogłoszonej r. 1741 po łacinie: „O poprawie wad wymowy” (*De emendandis eloquentiae vitiis*) uderzył na panujący wówczas styl napuszony, przesadnie kwiecisty, ubogi w myśli, a obfity w słowa, i domagał się, żeby wymowa była „silna, jasna, ozdobna, zgodna w zupełności z naturą i rozsądkiem, obfita we wszelkiego rodzaju wiedzę, jedyną i świetną, prawdziwie łacińską, nie płochą, nie nadętą, nie ciemną, nie wydwarzaną (nie afektowaną), nie przepełnioną wyrazami cudzo-

ziemskimi”. Z tego punktu widzenia poddał ocenie rozmaite wstępy do mów, listy, powinszowania, napisy, opowiadania historyczne, wykazując ich nielogiczność i śmieszność. Ażeby nikogo nie urazić, nie przytaczał niczyjego nazwiska; chcąc zaś innym osłodzić sprawioną przykrość, poddał takież ostrej krytyce swoje własne utwory, pisane na lat 20 lub 18 przedtem, kiedy jeszcze pozostawał całkowicie pod wpływem stylu modnego i zalecanego w szkołach. Zdawało się, że uczynił wszystko, co było można, by jak najmniej zadrasnąć miłość własną krytykowanych. Zdawało się także, iż jego wymagania, dotyczące wymowy, tak były rozsądne, że dość je było wypowiedzieć, ażeby zostały przyjęte. Miłość własna i nałóg atoli, nie dając się łatwo rozbroić. I przeciwko książce Konarskiego powstał gwałtownie zastraszony, choć nie wymienieni po nazwisku, jezuita: *Kazimierz Wieruszowski*, który sam był prawodawcą szkolnej retoryki, bo napisał książkę jej podręczną, oraz *Adam Malczewski*. *Wieruszowski* naturalnie najgwałtowniej i posłużył się środkiem, który w zmienionej nieco formie, do dziś dnia bywa używany, to jest nie tyle roztrząsał dowody przeciwnika, ile czernił jego osobistość: zarzucił księdzu pijarowi—herezję!...

Nie pomogły wrzaski rutynistów, nie skutkowało oskarżenie o mniemaną herezję: Konarski zwyciężył; lepszy, czystszy styl zaczął rugować napuszczoną makaroniczną gadaninę. Wśród światlejszych ludzi duchownych i świeckich znalazł nasz znieważony reformator uznanie i poparcie. Oto ich nazwiska, jak je sam Konarski w odpowiedzi *Wieruszowskiemu* wyliczył: Z pomiędzy biskupów: *Lipski*, *Grabowski*, *Teodor Czartoryski*, *Dębowski*, *Żałuski*, *Sierakowski*, *Sapieha*; z pomiędzy dostojników świeckich: *Lubomirski*, *Poniński*, *Tarło*, *August Czartoryski*, *Wacław Rzewuski*, *Poniatowski*, *Franciszek Potocki*, *Sapieha*, *Małachowski*, *Michał Czartoryski*, *Czap-*

ski, *Franciszek Bieliński*, *Scipio*, *Mniszech*, *Hilzen*, *Jabłonowski*, *Wielopolscy* (*Karol* i *Jan*).

Widzimy w tym spisie trzech Czartoryskich. Inny członek tej „familii”, syn *Augusta*, *Adam Kazimierz Czartoryski* († 1821) był wówczas, kiedy *Konarski* odpowiedź swą pisał, siedmioletnim dzieckiem, a miał się stać drugim z kolei krytykiem literackim. Wystąpił on najprzód w r. 1766 jako tłumacz i dopełniacz dzieła *Carlancasa* „O naukach wyzwolonych”, które miało służyć za podręcznik w Szkole Kadetów, zostającej pod opieką księcia. W książce tej mamy po raz pierwszy po polsku wypowiedziane zdania króciutkie o naszych pisarzach z dziedziny poezyi, wymowy, dziejopisarstwa. W kilka lat potem, wydając swoją komedję „*Panna na wydaniu*”, rozwiódł się Czartoryski szeroko nad historią i prawidłami dramatu, dzieląc naturalnie poglądy klasycyzmu francuskiego, chociaż znał i cenił *Szekspira*, jak w ogóle literaturę angielską. Oczywiście niebędę tu poglądów tych streszczał; znane są one dość powszechnie; winienem atoli zwrócić uwagę na niektóre szczegóły, zawarte w tej ważnej przedmowie, gdyż one dobrze charakteryzują przekonania autora. Otóż najprzód podaje określenie „geniuszu”, który to wyraz Czartoryski pierwszy wprowadził do naszego języka, powiadając, że „czas i zażywanie ucho z nim oswoi”. Jakoż rzeczywiście oswoiło. Oto owe określenie, przyczem pamiętać należy, iż „dowcip” w starej polszczyźnie znany tyle co talent: „Geniusz różni się bardzo od dowcipu. Dowcip iskry, geniusz zaś płomień wydaje, który większy okrąg oświeca. Dowcip do pojmania rzeczy wynalezionych nam pomaga, geniusz zaś nowe wynajduje. Jest to tworzące natchnienie, które wielkich ludzi w każdym gatunku prowadzi. Często zrywa ich z toru zwyczajnego; uprząta wszystkie przeszkody, uprzedzenia najulubieńsze wywraca, drze się przez nie prawdy szukając, i szybkim poskokiem pędzi tych

udzi wybranych do mety. Geniusz ogarnia razem i rzecz samą i cokolwiek do niej się ściąga. Nauk losy i kunsztów stanowią przez poetów i filozofów, losy narodów — przez statystów i wodzów: „*rara avis in terris*“ (rzadki to ptak na ziemi).

Pomijając uwagi o teatrze starożytnym u Greków i Rzymian, o włoskim, hiszpańskim, angielskim i francuskim, a parę słów o początkach polskiego, zatrzymam się nieco nad wywodami autora co do wyboru treści w tragediach i komediach. I tu Czartoryski jest naturalnie zależnym od teoretyków francuskich, mianowicie od księdza Jana Dubos († 1742), autora: „*Reflexions critiques sur la poésie, la peinture et la musique*“ (1719), — ale wprowadzał do poglądów tych pewne zmiany, małego, co prawda, znaczenia. Otóż wedle Czartoryskiego, ponieważ tragedia musi przedstawiać charakterystyki bohaterów, brać je winna z *czasów odległych*, bo „łatwiej wprowadzić nas w poszanowanie dla tych osób, które nam są tylko z historycznej powieści znane, jak dla tych, którzy żyli za czasów tak bliskich naszego, że świeża jeszcze tradycja uwiadomić nas mogła o wszystkich okolicznościach życia ich. Dochodzą nas wieści o ułomnościach wielkich ludzi, na których albo patrzaliśmy się, albo których rówieśnicy nasi znali, które ich tak przysuwają do zwyczajnych ludzi, że trudno nam mieć dla nich tę wenerację, z którą zwykliśmy poglądać na wielkich Rzymu i Grecji mężów: *audita visis laudamus libentius* (chętniej chwalimy to, cośmy słyszeli, niż to, cośmy widzieli).“ Jestto owa obawa społeczności, wyśmiana przez Mickiewicza u klasyków warszawskich, kiedy pytał ich, ile lat czekać trzeba, „nim się przedmiot świeży, jak figa ucukruje, jak tytuł uleży,“ i przytaczał zdanie jednego z literatów: „I proszę, jak opiewał społeczne wypadki? Zamiast mitologii, są *naoczne świadki*.“ Czartoryski atoli nie chciał ograniczać tragedii do przedstawiania tylko bohaterów starożytności. „I owszem — powiedział — jestto moje zdanie, że przypadki wzięte z historii narodowej, wielcy ludzie krajowi wprowadzeni na scenę, domowe przykłady poruszają, przywiązują, skutkować bardziej będą na umyśle spektatora jak obce; to jedynie wyrazić chciałem, że punkt oddalenia ten być powinien, w którym wielkie czyny ludzi, mających w nas admirację wzbudzać, widzieć dobrze, drobne zaś ich skazy dla odległości już dostrzedz nie można.“

W komedii natomiast należy wybierać treść z chwili społecznej, jeżeli się chce wpływać na poprawę obyczajów. Karci Czartoryski „grubianstwo,“ które wkradać się zaczynało u nas „w najniższej kompanii,“ jako zwolennik wytworności salonowej, narzekał z żalem: „Zdarzało mi się słyszeć nieraz słowa z ust młodych nawet kawalerów wypuszczone, którychby *pod wiechę* ledwo Bartek pomocnik do Magdy pomywaczki zażył; a cóż, gdyby mi przyszło wyliczać gburowatość w *trzymaniu się* na ucziwych posiedzeniach, w obchodzeniu się z tą plecią, której wdzięki, gracye, powaby do hołdów naszych prawo jej dają. Nasza poprawa pod jej władzę podpada. Do niej się obracam i prośbą moją, żeby nas w ten polor, w tę wprawiała *dworność*, do której przez chęć podobania się jej nas tak prędko zwać może.“

Cudzych komedij nie radził Czartoryski tłumaczyć całkowicie, ale je do naszych obyczajów przystosowywać. Tej rady chętnie usłuchano — i otrzymaliśmy w ostatniej ćwierci XVIII i znacznej części XIX wieku mnóstwo przeróbek, pokostem swojskim pociągniętych, ale nie wzbogacających ani literatury, ani też skarbcza wiadomości naszych o obyczajach danej chwili u nas. Nie jest to zapewne winą Czartoryskiego, bo on miał na myśli tylko przygotowanie się do pracy samodzielnej za pomocą przeróbek, nie zaś za pełnianie literatury samymi przeróbkami.

W sędziwym już wieku nakreślił Czartoryski w sposób trochę gawędziarski, ale bardzo rozsądnie: „Myśli o pismach polskich, z uwagami nad sposobem pisania w rozmaitych materjach 1810.“ Zaczął od bardzo niestety trafnej uwagi, że ci z nas, „co się wybierali do świątyni pamięci go-

ścińcem nauki, starali się zawsze *jak najtaniej i jak najmniejszym kosztem* pracy i przypilnowania odbywać tę podróż, woląc brać za godło: byleśmy mieli pozór, żeśmy coś zrobili, niż zastanawiać się nad tem: do jakiego stopnia ważną to jest rzeczą puszczać dzieło jakie między ludzi.“ A stwierdził doniosłość tej uwagi krytycznym przeglądem naszych dziejopisów, biografów, szczególnie zaś tłumaczy, pomiędzy którymi znalazły się także nazwiska głośnych poetów. Prawie wszystkie spostrzeżenia jego są trafne, sąd bywa niekiedy aż nazbyt surowy, chociaż wiemy z kąd inąd, że w ocenie prac ludzi, którym sprzyjał, okazywał się zanadto pobłażliwym. Bolał nad zubożeniem i zepsuciem języka za swoich czasów, słusznie utrzymując, że „liche narzędzia lichą zawsze wydawać będą robotę.“ Mówił on: „Taici sami nie możemy przed sobą, że od lat kilkunastu coraz bardziej wyradza się nasz język i że w tej mierze krok trzymamy z haniebnym a powszechnym zręceniem się kształtów stroju, zwyczajów narodowych, których miejsce zastępuje podle małpienie obcych narodów, wysmiewających nas z pogardą i sądzących, żeśmy warci byli rozproszenia naszego, kiedy mniej czuli na sławę pochodzenia ze krwi, przez tak długi wieków przeciąg wielkimi i bohaterskimi uczynionymi czynami, własnowolnie przemieniamy się w zgraję bezimienną, która mieszając słowa i wyrazy, wnet stanie się niezrozumianą sobie i drugim.“ Niestety, sam Czartoryski, pomimo staranności w pisaniu, nie uniknął zarzucanego innym błędu i nie jeden zwrot galicyzmem trącający w pismach swoich pomieszczył.

Nie mogę wreszcie pominąć uwag Czartoryskiego, dotyczących wstrętu względem krytyki literackiej. Przyczyny odrzy — powiada on — którą czuje dotąd naród nasz do używania krytyki końcem upowszechnienia bardziej prawego sposobu pisania, innej nie widzę krom tej, że autor prawie każdy tak się zistacza z dziełem swoim, tak się z niem spaja węzłem miłości własnej, iż przyjść nie może do odłączenia pisma swego od osoby, dla tego też bierze najmniejszą uwagę, najmniejsze dowodzenie błędu albo omyłki jakoby za znieważenie krwi swojej w płodzie zaszczyconym jego imieniem; a ta dotkliwość tak jest w nim subtelna, że gotowym się znajdzie zawsze do odważenia się na wszelkie ostateczności dla powetowania mniemanej swej krzywdy, i gotowym przekładać zagrożenie ładunkiem nad odpisanie, albo nad korzystanie z światłej rady. Takiemu właśnie służyłby mogła odpowiedź łacińskiego krytyka, dana rozszonemu na siebie pisarzowi: ja z tobą isę chcę na rozum, ty zaś ze mną isę chcesz na kulaki...“

Ale gdybym chciał wszystkie trafne uwagi Czartoryskiego przywozić, nie rychłoby skończył; wolę więc urwać, radząc każdemu, zajmującemu się literaturą, pilnie odczytywać te jego „Myśli“ (przedrukowane r. 1860 w „Bibliotece polskiej“ Turowskiego).

Mówiąc o krytyce w wieku XVIII, niepodobna pominąć najznakomitszego naszego poety tych czasów, Ignacego Krasickiego († 1801), który nie tylko w „Monachomachii“ wydrwił znakomicie napuszone mowy panegirystów i szkolne dowodzenia zapóźnionych scholastyków, ale napisał także pierwszą naszą (bardzo skromniutką) historję literatury powszechnej („O rymotwórstwie i rymotwórcach“) i dwa artykuły o „Krytyce.“ W jednym z tych artykułów mówi w ogóle o krytyce, w drugim o krytyce naukowej. W obu punktem wyjścia dla określenia zadań krytyki jest porównanie jej z „sądem,“ raz z dodatkiem, że to „sąd polubowny.“ „Doskonały sędzia — są słowa Krasickiego — odrzuca względy wszelkie w sądzie na osoby majątne lub ubogie, blizkie siebie lub dalekie, przyjazne lub zawistne; jest obowiązany do rozeznania dostatecznego sprawy, do wiadomości praw, do których stosuje sprawy, i o nich gotowy z tychże praw wydaje dekret. To samo sprawiedliwy krytyk zachować powinien: bezwzględność na osoby, poznanie dostateczne dzieła autora, wiadomość nauki, w której ten autor pisał, przystosowanie do niej tegoż pisma; same tedy teży nauki prawidła wydadzą mu wyrok o tem dziele, który on

ogłosi.“ To o krytyce naukowej w ogóle; a co do krytyki artystycznej („Kunsztów wolnych“), to ponieważ dzieła sztuki „po większej części są rządzone od gustu, więc przez *przyporównanie dzieł podobnych*, krytyk sądzi o tem, które jest podane pod sąd.“ Idea zatem krytyki porównawczej tkwi już zarodkowo na tem zdaniu Krasickiego. Z poszczególnych uwag jego, warta zanotowania następna, choćby dlatego, że i dziś jeszcze, tak samo jak przed wiekiem, może znaleźć zastosowanie. „Dostateczne sądzić o piśmie w tem, co jest, jeżeli dostateczne *podług zamysłu autora*; ale zakładać defekt na tem, czego nie przydał i przydać nie chciał, ani tem opuszczeniem zaszkodził dziełu *podług swego zamierzenia*, — nie byłaby krytyka sprawiedliwa. Kto odrzuci górnika przynoszącego *drogi kruszec* dlatego, że nie oddaje złota gotowego?“

Krasicki, jak widzimy, odwołuje się, podobnie jak wszyscy teoretycy francuscy owocześni, do prawideł, do przepisów, obowiązujących twórcę. Zbioru takich przepisów dla poetów (a zarazem dla krytyków) bardzo długo nie mieliśmy wcale; zadowalano się regułami dotyczącymi wierszowania łacińskiego, oraz „Sztuką Rymotwórczą“ Horacego czyli „Listem do Pizonów.“ W XVII w. Łukasz (nie Krzysztof) Opaliński napisał wierszem króciutki utwór p. t. „Poeta,“ zachęcający głównie do pracy bez spuszczenia się na natchnienie, w XVIII stuleciu Wacław Rzewuski ładnemi stancami skreślił ważniejsze znamiona głównych rodzajów literackich w poemacie „O nauce wierszopiskiej“ (r. 1762) ale ani jeden, ani drugi utwór rozgłosu nie zyskał. Dopiero Franciszek Ksawery Dmochowski († 1808) późniejszy tłumacz „Iliady,“ wzięwszy sobie za podstawę „L'art poetique“ Boala, dodawszy do tego spostrzeżenia Horacego i swoje własne, napisał poemat w 4 pieśniach p. t. „Sztuka Rymotwórcza“ (1788), która przez długi czas wielką cieszyła się powagą i na wyrobienie smaku klasycznego wpływała niemało. Sądy autora o naszych i obcych poetach są bardzo ogólnikowe i dotyczą stylowej i wierszowej przeważnie strony, jak to zresztą było ogólną cechą krytyki pseudo-klasycznej, ale były wypowiedzane jasno i zwięźle. Książę Czartoryski takie o tem „wybornem dziele“ dał zdanie, które powszechnie wtedy za słuszne uznano: „Dmochowski stopił zręcznie dzieła owych trzech wierszopistów prawodawców: Arystotelesa, Horacego i Boileau. Własne jego przydatki zwiększają w ogóle wartość tej produkcji; a gdy prawidła spaja, łączy w wierszu gładkim wzory z nauką. Darować mu można pochwały zbyt liczne, które pod niebiosą wynasza bez ekscypcyi wszystkich poetów polskich, ulegając uludzeniom i zagorzeniu krajomilności: wszak tak i matki dzieci swoje psuć zwykły. Radzę wszystkim, co się poezji poświęcają, częste wertowanie tego dzieła, nie zawadziłoby nawet uczenie się go na pamięć; mając je bowiem, przytomnem, karniej i ostrożniej by się pisało, i umniejszylby się odbył *poetycznego podpiwka*, którym tak obficie (choć nie wezwani od Muz ani Apollina) po kraju naszym różni częstują.“ Usłuchano rady Czartoryskiego; wyjątków ze „Sztuki Rymotwórczej,“ wprowadzonych do stylistyki, uczono się na pamięć jeszcze za moich lat młodych; ale to nie zapobiegło zbyt obfitemu częstowaniu nas „poetycznym podpiwkiem.“

Nie zapobiegł też temu słynny wiersz Aleksandra Pope'a, tłumaczony czterokrotnie na nasz język „O krytyce,“ jak nie zapobiegnie żadna chyba rozprawa czy poemat. To też potrzeba uświadamiania prawdziwego smaku estetycznego nigdy ustać nie może.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZY KOMINKU.

(POGAWĘDKA).

I tak rozpoczął się rok 1899.

Wszystkie pisma obrazkowe utartym oddawna zwyczajem, ozdabiają szpalty swoje rycinami, przedstawiającymi tego nowego przybysza najczęściej w postaci dzieciaka, obiecującego światu dużo, dużo dobrych rzeczy. Ale, jak stare przysłowie powiada, obiecanka to cacanka — radują się więc ludzie z początkiem każdego nowego roku, hulając niemal przez cały kwartał pierwszy, w następnym kwartale przekonywają się, że nie było z czego tak bardzo cieszyć się, w trzecim rozczarowują się już na dobre, w ostatnim zaś żółć zalewa wątrobę, w ostatnim dniu roku przed sąd swój powołują oszukańca, któremu miała czas i broda urosnąć, a barki zgiąć się w kłębek — i wyświecają na wieki z kalendarza niegodziwego uwodziciela.

„Ty taki a taki — zgiń, przepadnij!... wołają i uśmiechają się wdzięcznie ku nowemu przybyszowi, który ich wita uprzedzająco i zdaje się, że mówi:

— Dobrze tak staremu, dobrze!... ja całkiem inny będę, zobaczycie! ja was smaczniemi łakotkami obsypię — przekonacie się!

— Cacy! cacy! — wołają rozradowani ludziska i nowonarodzonemu głuptaskowi przypinają do czółka gwiazdę geniuszu, różami skronie wieńcą, różami uścielają drogę, do rączyń róg obfitości dają i znowu się cieszą, rozczarowują, czują żółci wezbranie, aż w jeden akord nienawiści złączą się głosów tysiące:

„Zgiń, przepadnij!...“ i tak dalej.

W noworocznych numerach pism naszych musi być jakiś wiersz poświęcony temu Nowemu Rokowi i ilustracya, przedstawiająca zjawienie się obiecującego młodzieńca i usuwanie się w mgły niepowrotnej przeszłości starego okpiwosza.

Nie powiem, ażeby artyści nasi zdobyli się na jakiś koncept nowy, wyszli nad miarę zwykłego szablonu w przedstawieniu urodzin nowego i śmierci starego roku. Widocznie, że w tym wypadku fantazyja im nie dopisuje. Poważny czas z kosą i klepsydrami, jako też dzieciak, golutki najczęściej, powtarzają się rok rocznie, czasami tajemniczy sfinks wyjrzy z poza rozchylającej się zasłony — i nad to już nic nowego dać nam nie umieją.

Ale, maluczko, a nietylko bieżący rok się skończy, lecz i wiek cały zmęczoną głowę ku spoczynkowi wiecznemu pochyli.

To już nie trzysta sześćdziesiąt pięć dni, ale całe lat sto przed sądem historii stanie.

Może się więc poruszy fantazyja artystów i stworzy dzieła piękne.

Warszawa, po przeżytych dniach, z powodu odsłonięcia pomnika Mickiewicza, zaczyna do normalnego życia powracać.

Po ugoszczeniu kilkakrotnem pani Góreckiej, córki Adama Mickiewicza, po ucztach wydanych twórcy pomnika, panu Cypryanowi Godebskiemu — wróciliśmy do zajęć zwykłych i kłopotów codziennych, z których jednakże nas już budzi głośnie: hu, ha! mazurkowe, rozmarzające tempo walca, przygotowane całych karnawałowy, zapustny szal, z kostyumowami i maskowami balami, a może i z kuligiem do Willanowa i za Willanów.

Cieszą się szczęśliwcy, bawiący się ciągle, że jeszcze bawić się będą; cieszą się robotnice szyjące na maszynach, że z powodu potrojonej roboty większe zarobki mieć będą; cieszy się kupiec, że towar sprzedaje; strojnisi, że towar kupi, wystawy sklepowe ubierają się coraz pięknie, dobroczynność zaciera ręce z radości, bo tańczyć będą i na szpitalik dziecienny i na korzyść matek opuszczonych i na inne a inne cele. Panowie malarze pędzle przygotowują, poeci

wdzięczne lutnie stroją, bo piórem i pędzlem potrzeba będzie karneciki ozdobić.

Ale nowiną dnia, gorączką chwili jest oczekiwany koncert Paderewskiego. Mistrz dał się przebłagać, stłumił niechęć, jaką jakoby miał do Warszawy i zapowiedział trzy koncerty w sali ratuszowej.

Ale potrzeba być ukochankiem losu, by bilet na koncert móżdż dostać.

Zaledwie wionęła wieść:

— Paderewski przyjedzie!... posypało się tyle zamówień, że aby dogodzić tym wszystkim, którzyby chcieli znakomitego muzyka posłyszeć, Paderewski musiałby grać i grać bez końca. Wyobrażam sobie zachwyt tych, którzy go posłyszają, boleść tych, którzy słyszeć go nie będą.

Zasłyszalem raz taką rozmowę:

— Masz bilet na Paderewskiego?

— Mam.

— Mój drogi, złoty, odstęp mi, za co chcesz odstąpić?

— Za nic w świecie!...

— Sto, dwieście, trzysta rubli.

— Nie!

— Konia z rzędem, jamników parę, i co chcesz jeszcze?

— Mało.

— Nowozbudowaną kamienicę, bogato gipsaturami ozdobioną.

— To strata oczywista.

— Żonę, dzieci!...

Ten ostatni argument najmniej przemówił, ale zapalony wielbiciel Paderewskiego oddawał żonę i dzieci, choć właśnie żona kazała mu biletu na koncert szukać.

Wspomniawszy o Paderewskim, nie mogę tu pominąć milczeniem konkursu dramatycznego, połączonego z jego imieniem.

Należąc do składu sędziów, odczytując sztuki i referaty z nich dając, powiem, że nie pamiętamy konkursu, któryby tak hojnie wynagradzał poniesione trudy.

Do apelu, jak wiadomo, stanąć mogli młodzi jeno pisarze, których wiek nie przekracza lat trzydziestu pięciu. Najwięcej prac nadesłał Kraków i zdaje się, że mu palma pierwszeństwa przypadnie. Z 86 sztuk odczytanych, kilkanaście zostało wybranych do wspólnego czytania, t. j. do współubiegania się o nagrody (a jest ich cztery) lub wzmiankę zaszczytną.

Plon więc konkursu zapowiada się świetnie. Jeżeli nie będzie *arcydzieła*, to rzeczy wybornych nie zbraknie. Jednym i najgłówniejszym prawie warunkiem konkursu jest czystość i piękność języka. Pod tym względem najmniejszego zawodu nie doznaliśmy. Jeżeli w takiej masie prac nadesłanych były rzeczy słabe pod względem artystycznym i scenicznym, to językowi nie zarzucić nie można było. Słowem, podjęta przez sędziów praca jest praca, w obecnych okolicznościach, bardzo wdzięczna.

Cieszymy się więc, że przedwczesne były lamente na brak talentów dramatycznych i zanik poezyi. Kto wie, czy zbliżający się wiek dwudziesty nie zaznaczy się u nas rozwojem nowej, żywej a młodej poezyi. Jak dotąd, szwankował u nas dramat — zdaje się nam, że obecnie na niego kolej przyszła. Doprawdy, że gniewny byłem, iż żadna ze sztuk *naszych* nie wywołała u nas takiego rejdachu, jak Cyrano de Bergerac, który, bądź co bądź, nietylko arcydziełem nie jest, lecz gdyby nie miał stempla paryzkiego, gdyby u nas się urodził, przesłabibyśmy nad nim do porządku dziennego. A ileż to piór, piór znakomitych nawet (Konopnicka, Zagórska, Kasprzowicz) wzięło się do tłumaczenia tego „bohaterskiego“ poematu.

— Kto nie czytał Cyrana?

— Każdy.

— A znacie, panowie, dramaty Faleńskiego?..

Milczenie.

— Bełcikowskiego?..

Milczenie.

Tak! milczeniem odpowiedzieli ci wszyscy, którym Cyrano nie był obcy.

Smutne!

??

Z niedrukowanych poezji Maryi Bartus.

DO DZIEWCZYNY.

(3 albumu *Szczęsnej*).

Pogodna jak wiosna, wesola jak ptasze,
A tkliwa jak dziecię,
O dziewczę ty polskie, o dziewczę ty nasze,
Rodzinnych łąk kwiecie!
Gdy krasi cię uśmiech wschodzącej jutrzeńki,
Niewinna prostota,
Cudowniej cię zdobią ubogie sukienki
Od pereł i złota!

O! śmieję się dziewczeczko, niech głosik twój
[szklanny]

Ku niebu ulata,
Jak oddźwięk skowronków modlitwy porannej,
Jak echo z za świata.
Co wierzyć mam karze w istnienie aniołów,
W harmonię wieczności,
I sieje promienie na mroki padołów,
Nadziei... Miłości...

Skarbnica natury przed tobą otwarta
Z bogactwy wszystkiemi,
Nad tobą zasiana błękitna nieb karta
Głoskami złotemi.

Jak dziecko stojące w świątyni tej progu
Spoglądasz nieśmieiele —

A wszystko ci mówi o życiu, o Bogu,
Tak wiele... Tak wiele!

Więc słuchaj i patrzaj i w piersi twej młodej
Zachowaj głęboko —
Wdzięk każdy i uśmiech tej matki przyrody
Co pieści twe oko.
Pij pełnym oddechem rodzinnych łąk wonie,
W majowym wieczorze,
W promieniach słonecznych niech dusza twa tonie
Jak rybka w jeziorze!

Bo przyjdzie dzień inny... o! ja ci nie wróżę...
Z nieszczęścia zwiastuny —
Lecz życie — to zdrada! i wiosna ma — burze,
I błękit — pioruny!

I kwiaty, skwar lata wypala przedwcześnie
Choć jesień — daleka,
Natenczas, myśl nasza, zraniona boleśnie,
Do wspomnień ucieka!...

I czerpie ochłodę dla duszy strudzonej
Z jasnego ich źródła —
I błogo spoczywa w oazie zielonej —
Pod palmą spokoju...

Co jedna po latach przyjaznym swym cieniem
Pielgrzyma ugości,
A biada niebacznym! co tęsknem wspomnieniem
Nie znajdą — młodości!

Kazimierz Głiński.

KRZYWDA

POWIEŚĆ.

II.

Niespodziewany gość.

Było to jesienią...

Na dworze mrzyło, tak zwany „kapuśniaczek“ częstował ziemię chłodem i przenikliwą wilgocią, mgła szara wypełniła przestworze, gęsta, jednostajna, niesła smutek i melancholię. W polu przetrwano orkę pod posiew wiosenny, bo rozmokła ziemia nie rozsypywała się pod ostrzem lemiesz, nogi bydła grzęzły w gliniastym gruncie, trzody nie korzystały z łąk wodą zalanych, pastwiska zmieniły się w bagna grzaskie. Mimo jednak tej przerwy, w zajęciach gospodarskich roboty nie brakło. Poprawiano pługi i wozy, tryby i trybki opatrywano w młockarni, ażeby, gdy się niebo rozchmurzy i jasnym promieniem słońca błysnie, wziąć się do skończenia przerwanej roboty przed śniegiem pierwszym i mrozem pierwszym.

Pan Hipolit nie przywykł spuszczać się na nikogo, doglądał wszystkiego sam, sam był wszędzie.

Ubrany w swój kubrak, w czapeczce na głowie, a butach za kolana, wstawszy o godzinie piątej rano, bez względu na porę roku, szedł obejrzyć swój dobytek. Przy nim poiono konie i woły, do żłobów sypano obrok, za drabiny kładziono siano. Dzwoniąc kluczami, budził parobków i wraz z karbowym machiną gospodarczą w ruch puszczał. Ekonoma nie trzymał — na to mu jeszcze nie pozwalały środki; cóżby sam zresztą robił, prowadząc życie tak zamknięte? Prawda, że nieraz czuł się śmiertelnie znużony, przybity pracą — ale to znużenie, do wyczerpania niemal sił wszystkich dochodzące, dawało mu sen mocny — bez marzeń. Zwiększające się jednak dochody i obszary pól, które rok rocznie pod ostrz pracowitego pluga oddawał, różnorodność zajęć gospodarskich (bo i pasiecznictwo, mlecznictwo i ogrodnictwo wchodziły już w ich zakres), wymagały sumiennego pracownika, więcej oczu niż dwoje i więcej niż dwoje uszu.

Pan Hipolit pomyślał nad tem.

Sumienny obrachunek powiedział mu, że może już sobie na ten konieczny zbytek pozwolić. Obliczył dochody, jakie bieżący rok przyniesie i raz pierwszy od lat wielu do swoich się myśli uśmiechnął. Powrócił rodzajną siłę wyjałowionej ziemi, zaciągnięte długi na jej wydajność tegorocznymi dochodami spłaci, a bujna, gęsta ruń, na rok następny dobrą go obdarza nadzieją... Zaczął rozpytywać sąsiadów o dobrego gospodarza, któryby mu był prawą ręką i więcej przyjacielem niż sługą.

Pan Hipolit należał do rzędu tych ludzi, z którymi żyć się łatwo było. Łagodny, wyrozumiały, sprawiedliwy w sądach, dostrzegający więcej dobrego niż złego w bliźnich. Sąsiedzi go szanowali, jakkolwiek mało się im udzielał, — zrazu uważali go za mizantropa, za dziwaka czasami, lecz gdy po latach trzynastu zamknęła się i ciężkiej pracy Górki i Piaski, od niepamiętnych czasów „Saharą“ zwane, pokryły się bujną zielonością zbóż i pełnymi zaszeleściami kłosami, z mizantropa stał się człowiek żelaznej woli, z dziwaka — mąż rozumny. Nie jeden w okolicy pan brat złotego pozbył się jabłka — on, zdziwej gruszy złotodajnych owoców drzewo zrobił. Cichy, zamknięty w sobie, kuł kilofem pracy w niepoddający się zrazu granit, aż granit pękł wreszcie i błysnął czystej wody brylantem. Teraz coś szeptać między sobą zaczęli rodzice, mający córki na wydaniu, teraz niejedne oczy nie-

wieście chciałyby się przyjrzeć panu Hipolitowi. Dziwiono się, dla czego się nie żeni, zdziwiono by się jeszcze więcej, gdyby która z cór obywatelskich nie przyjęła jego konkurów.

Pan Hipolit nie w ciemności był bity. Szeptano nie tak, aby te szeptki ominęły słuch jego, patrzano zbyt znacząco, ażeby nie zrozumiał tych spojrzeń.

I przypomniała mu się jedna krótka, przelotna chwila w jego życiu.

W sąsiedztwie Górek, w Hajczyńcach, mieszkał zamożny obywatel pan Bonawentura Ryba. Miał córkę Matyldę; ładną czy nieładną była, mniejsza o to, panu Hipolitowi przesłiznęła się wydała i zapruszyła mu serce. Działo się to przed czterema laty, w chwili największej pracy i największych długów. Do wyznań nie przyszło, bo pan Bonawentura zbyt wcześnie się spostrzegł.

— Hm! — mruknął — chce swoją Saharę użyć pieniędzy Matyldki.

Tego samego zdania była i panna Matylda. Wionęła chłodem i zmroziła zamiary pana Hipolita, pani Rybina zaś parokrotnie odezwała się o wysokopiennych projektach swych dla córki.

Na tem wszystkim Grudowski poznał się. Zaczął bywać coraz rzadziej, odjeżdżał nie zatrzymywany, wizyty oddzielały się coraz dłuższymi miesiącami, aż wreszcie usunął się powoli, tak, że nikt nie wiedział o miłoścu odegranym dramacie. Nie wiedziała też o nim i matka pana Hipolita.

Niewielki, lecz był to nowy cień w życiu właściciela Górek i Piasków. Komedya świata coraz widoczniejszą mu się stawała, poznawał aktorów, ludzi bez masek dojrzał mu się nie udało.

Od dnia zerwania z domem państwa Rybów upłynęło lat cztery. Sahara zmieniła się w oazę i o panu Hipolicie zagadano w Hajczyńcach. Lecz on uśmiechnął się tylko smutno: panna Matylda dotąd za męża nie wyszła!

Trzy pokoje, które zajmował pan Hipolit, wyglądem swoim różniły się zupełnie od apartamentów pani Karoliny. Tam przepych — tu prawie ubóstwo. Bielone ściany, wyszarżane meble jesionowe, zegar z kukulką ochryplym głosem wydzwaniał godziny, w kącie stała szafa z książkami, na biurku leżały gospodarskie księgi, dalej drewniane łóżko z siennikiem, pokryte kołdrą wołokową.

To gabinet — miejsce pracy; miejscem dumań był pokój jadalny, bo miał staroświecki kominek, przy którym pan Hipolit lubił siadywać i patrzeć na ogień trzaskający. Bawialny nie odróżniał się niczem od poprzedników swoich: takie same sprzęty i ściany, tylko przy jednej z nich stała dobrze wysiedziana kanapa, a stół był nakryty serwetą z siatki nicianej, którą zdobyły włóczkowe kwiaty; dalej palisandrowy fortepian, wzięty niegdyś z grudowskiego pałacu, jako jeden z trzech pozostających tam sprzętów, drzwi zaś szklane wychodziły na balkon, z którego ładny rozpościerał się widok na wieś drzemającą w oddaleniu, pasmo pól i łąk, przerzniętych srebrnym pierścieniem rzeczki. Przed balkonem słał się zielony gazon, ogród był niewielki, lecz cieniasty, zwiększała go płatanina alej. Drugi balkon, z boku domu, należał do pani Karoliny.

Nigdy panu Hipolitowi tak smutno nie było, jak dzisiaj wieczora. Może to wpłynęło tej pogody jesiennej, tego dżdżu chłodzącego, tej mgły wiejącej melancholią. Od godziny już jak obszedł gospodarstwo, a jeszcze książki do ręki nie wziął. Przywykł zawsze czytywać o tej porze, czemkolwiek bądź czas zapłacić, by nie zostawać tylko z myślami sam na sam. Chciał zająć do matki, ale coś go u samego wejścia powstrzymało. Posłyszał rozmowę — rozmawiała z Maryanną.

— Ach, jak mnie niepokoi Henryś tem swoim milczeniem — mówiła pani Karolina. Nie wiem, czy co postanowił, czy zrobił jakiś wybór?

— Pani o wybór pana Henryka może być spokojną — odpowiedziała pokojowa, na pół towarzysząca Grudowskiej.

— Zapewne — Henryk!

— To nie pan Hipolit — zaśmiała się Maryanna. Hipolit nie słuchał dłużej, odszedł cicho, by

najmniejszym szelestem bytności swojej niezdradzić.

Chodził pochmurny jak noc, czasami wąż portagał, to wpatrzył się w ognisko płonące. Musiano tam nieraz mówić o nim, a jak mówiono, dawało mu miarę odezwanie się pokojówki. On pracuje jak bydlę juczne, żywi się kaszą i hreczanami kluskami, na śniadanie i podwieczorek spożywa mleko zsiadłe, z herbatą czy kawą nie spotykał się oddawna, a tam opływają w dostatki — za jego pieniądze i — drwią z niego, kto? pokojówka, płatna — przez niego!

Miał szczerą chęć natrzeć uszu pannie Maryannie, ale po krótkim namyśle zaniechał zamiaru. Panna Maryanna była ulubienicą matki.

Uśmiechnął się gorzko i rzucił się na fotel. Na kominie dopalało się ognisko, rozżarzone węgle pękały, z pod których tu i tam błękitne migotały płomyki.

Przez mózg pana Hipolita jak fale płynęły myśli, trącały o przeszłość daleką, o lata dzieciństwa i młodości, porównywał siebie z innymi ludźmi, których znał dobrze, którymi pogardzał nieraz. A przecież i oni mieli swoje dni jasne, i gniazda sobie słał, i byli nawet kochani. Na myśl mu przyszła panna Matylda, chwilowa gorączka serca, sen — zaledwie urodzony, przerwany zaraz.

Czy on się może dziś jeszcze kocha?

Nie!

Z zupełnym myśli o niej spokojem i gdyby stanęła tu, przy nim, z takim samym spokojem patrzyłby na nią i rozmawiał.

To chorobliwy był sen — i dobrze, że minął.

Ale mu dziwnie smutno i ciężko. Pod dachem jego mieszka matka, a on tak strasznie samotny: nie zagadać do ścian czterech, chyba liczyć monotonne: „tik, tak“ zegara i obłąkania zmysłów dostać.

Lecz już złe czasy zmieniły się, może być teraz swobodniejszy i o czemś poważnem pomyśleć. Dom jego i tak jest niekształtny, jeżeli jeszcze dobuduje parę pokoiów, nie na swojej piękności nie straci. A jakoś przytulniej, cieplej będzie, gdy do tej pustki wejdzie kobieta.

Bał lecz on jest tak zmrożony, że powinna dużo, dużo wnieść ciepła z sobą, by wynagrodzić tyle lat zimna. On tak spragniony uścisków, pieśczęt, że jak dziecko tarzałby się u nóg tej kobiety, któraby miłośnie głowę jego do swojej przytuliła piersi. Jest to szaleństwo może, lecz onby życie całe za taki uścisk oddał.

Potańczał czoło i obejrzał się.

Jak pusto — jaki chłód ze wszystkich ścian wieje!

A może on sam temu winien, bo zanadto bierze do serca obojętność matczyną? W niepamięć wszystko rzucić, śmiechem za śmiech, chłodem za chłód zapłacić i zacząć życie nowe, a pannie Maryannie nakazać mores. Nie podobna się, to fort — na cztery wiatry! Będą lamenty i krzyki, lecz będzie posłuch i milczenie. Udawać zaczął miłość, przyjaźń — mniejsza o to — wszystko jest komedią, lecz ubliżających szepotów słyszeć nie będzie a zmusi ich do liczenia się z sobą. On widział już nieraz, jak panna Maryanna zwracała się do niego plecyma, zasłyszał odpowiedź kucharza: „Co tam pan!“ daną na jakąś uwagę fernalowi. Matce wolno, bo matka, ale tej hałastrze — vara!

Wstał, podniecał się myślami własnymi i zaczął krążyć po pokoju.

— Będą krzyki, — rzekł półgłosem. — Mniejsza o nie, lecz drwić z siebie nie pozwolę!

Wtem jakiś szmer usłyszał w przedpokoju i ruchy kłamki. Zatrzymał się i wpatrzył się w drzwi, które dość szybko się rozwarły i weszła pani Karolina.

— Mama! — odezwał się pan Hipolit.

Zdziwienie, niepokój i radość brzmiały w tem jednym słowie.

Pani Karolina nie odwiedzała nigdy tej części domu, dławili ją zapach gliny, którą powleczone były ściany, wytarte meble wstręt wzbudzały. Zasłała tu raz przed laty sześciu i szpazmów ją nabawił ochrypli głos zegarowej kukulki, lekko zaś wygięty sufit trwożył zawaleniem się. Pan Hipolit chciał wszystko zmienić, byleby go mat-

ka odwiedzać chciała, ale stanowczo: „Nie—nie—nie, nie przyjdę tu już,“—powstrzymało go od nowych wydatków.

Dzisiaj ta niespodziewana wizyta zdziwiła i zaniepokoiła pana Hipolita.

— Mama,—powtórzył—u mnie?

Pani Karolina wstrzymała się wpół drogi—

— Mogę wyjść... jeżeli?

Pan Hipolit podbiegł, ukląkł i przytulił głowę do kolan matki.

— O nie, nie—moja najdroższa, jedyna, moja najlepsza mateczko!... Ty nie wiesz, jakim szczęściem dla mnie jest zjawienie się twoje tu, u mnie, w tej chwili, kiedy czułem się dziwnie samotny i opuszczony. Nie odchodź—zostań, zostań!... Tak mi dobrze jest u kolan twoich, przy których lata bym całe przeklecał. O! popieść mnie—niech dłoń twoją na swojej twarzy uczuję... Tak—tak—moja dobra, moja najlepsza... najlepsza!...

Chwycił ręce matki i całował, pieścił, oplatał niemi czuło swoje i szyję, a łzy, jak perły, staczały mu się z oczu. Nie wiedział sam, co czyni, lecz zdawało mu się, że to go matka tak pieści i tuli. W tej dobie zapomniał o wszystkim, wszystko przebaczył... Ach! gdyby tak usnąć mógł na tych kolanach, pod ciepłym tych rąk, które czuł w tej chwili na sobie.

Przez zimną zrazu, obojętną twarz pani Karoliny, przesunął się lekki obłok uczucia. Nie zacięły się usta, nie zmarszczyło się czoło—przebiegła wzdłuż dłoni po włosach syna, jakby się pieściła niemi.

— Wstań, dzieciaku!—rzekła po chwili.

Gdy powstał, pocałowała go w czoło.

Pan Hipolit nie wypuszczał z rąk swoich dłoni matki. Całował bez końca, bez pamięci, nie mogąc powstrzymać łez, dwiema spadających kropkami.

Grudowska milczała,—po chwili, spuszczając powieki, rzekła, siłąc się na uśmiech:

— Przyszłam do ciebie na kolację—Hipolicie!

Powód przyjścia był zmyślony, zmyślony w tej chwili, pod wrażeniem wybuchu uczuć synowskich.

— Matuchna—na kolację do mnie?—spytał.

— Nie chcesz?

— Ach, mam, proszę tak nie mówić... Ja—nie chcę? nie chcę gościa takiego?... Tylko—dodał po chwili..

— Tylko co?

— U mnie kasza hreczana, — rzekł z uśmiechem.—Ale—ha!—zawołał nagle—u mamy coś pewnie jest wybredniejszego. Każę tu przynieść, i zjemy, każde swoje, lecz razem—to bał prawdziwy dla mnie!

Wybiegł szybko, by wydać rozkazy służbie; pani Karolina słyszała głos jego podniesiony, dziwnie metalicznym dźwiękiem rozchodzący się po pustych pokojach. Nie mówił: „Pani u mnie wieczerać będzie,“ lecz: „Mama,“ jakby się pieścił tym wyrazem, jakby on był najśłodszą śpiewką dla niego. Po chwili wrócił, ukląkł raz jeszcze przed matką, objął kolana, przyłożył twarz, ucałował trzykrotnie i zerwawszy się z kłęczek, przysunął duży wygodny fotel bliżej kominka, do którego parę szczap rzucił.

— Usiądź mateczko tu, ty lubisz ciepło, ja jeszcze z lat dziecinnych pamiętam, jak ty lubiłaś przy kominku siadywać i bawić się błyskami ognia. Ten pocziwiec jest jedynym moim towarzyszem. Od lat trzynastu ileż to ja przemarzyłem tutaj, wiele myśli w ten ogień rzuciłem, myśli... bardzo smutnych, — dodał ciszej.—Jak tu dobrze jest teraz! Ogień nawet weselej się pali, od kiedy ty przyszłaś... Ach! brak ci stołeczka pod nogi... Zaraz go będziesz miała... No, patrzcie, zapomniałem o rzeczy tak ważnej.

Po chwili wrócił, trzymając w ręku niską, wyszywaną, o kwadracie owalnym poduszkę, która wygodniśm do oparcia nóg służyła.

— Jest to z całego domu najporządniejszy sprzęt u mnie, dzieło rąk twoich, mam;

a w swoim rodzaju—arcydzieło! Zrobiłaś to przed laty (Boże, jak to dawno!) ojcu na imieniny. Uprosiłem Henryka, by mi ją z Grudowa wziąć pozwolił, jako podwójną pamiątkę: po ojcu i po tobie. Odtąd nieczyja stopa nie spoczywała na niej—teraz ty pierwsza ją poświęcis dotknięciem swoim.

Przykląkł i mały sprządek podsunął pod nogi matki.

Grudowska przez lekko przymknięte powieki patrzyła na syna. Tak ruchliwym i rozpromienym nie widziała go nigdy. Piękna jej twarz, która aż dotąd się oparła wszystko niszczącemu czasowi, z każdą chwilą stawała się mniej surową, tylko zakłopotaną więcej, oniesmiałą czy zmieszaną. Nie siłała się nigdy na wyraz tkliwości względem pana Hipolita, teraz nie umiała słów dobrą, w którychby nie zadzwonił jakiś dźwięk fałszywy, jakaś nuta, psująca harmonję danej chwili. Milczała więc, opuszczając, to podnosząc powieki, to przymuszonym uśmiechem odpowiadając na szczebiot syna. A pan Hipolit puścił wodze uczuciom wzbranym; jak pijak, któremu odjęto napój haszyszowy, odużał się teraz rozkosznym nektarem.

O czem nie mówił! Było tam wszystko w tej spowiedzi wzbranego serca, prócz skargi na los, prócz żalu na opuszczenie. Wspomnił nawet i o przelotnym uczuciu swoim dla panny Matyldy, nie uważając, że w tej chwili twarz pani Karoliny drgnęła lekko, zacięły się usta, a czoło podłużna bruzda zorała.

— Ale to przeszło, mateczko, jak nieszkodliwa choroba, teraz się śmieję z dawniejszego siebie i teraźniejszych uśmiechów panny Rybianki.

— Masz słusność, Hipolicie! jej nie o ciebie, lecz o Górki i Piaszki chodzi—

— Dzisiejsze, mam, bo do dawniejszych inklinacji nie miała.

— Widujesz ją czasami?

— Raz do roku, w kościele, lecz unikam spotkania i nie zbliżam się wcale, choć pan Ryba nieraz drogę mi zachodzi. Teraz panny Matyldy nie widziałem już od dwóch lat prawie—tak—przeszło dwa lata; wiem jednak od Tołpiskiewiczza, że wdychać do mnie zaczyna.

— Sądję,—odezwała się pani Januszowa głosem powolnym, badawczym wzrokiem patrząc w twarz syna,—że.. powrotnej fali uczucia obawiać się już nie będziesz.

— Oczywiście mateczko,—zaśmiał się wesoło pan Hipolit.—Pochłonięto ją wielkie morze rozczarowania, rozbiło na pyłki drobne i—Bóg wie—gdzie uniosło.

Westchnął—

Uśmiech zadowolenia przebiegł przez usta Grudowskiej, zaczęła lekko kołysać się w fotelu, zwracając oczy na ogień jaskrawo płonący, to ukradkiem posyłając spojrzenie na twarz syna.

Teraz dopiero dowiedziała się o prawdziwej przyczynie zerwania stosunków z Hajezyńcami. Wiele była chwila, w której pan Hipolit zamarzył o życiu rodzinnym, w której mogłyby się rozbić jej projekta, dotyczące się skupienia znów całej fortuny Grudowskich w ręku ukochanego Henryka! Dreszcz przebiegł po jej ciele—ale się uspokoiła. Najstraszniejsze są zawody w miłości—Hipolit przez nie już przeszedł. Falę uczucia pochłonięto wielkie morze rozczarowania i rozbiło na pyłki drobne. Dziś—doświadczenie i lata pana Hipolita—nie pozwolą żadnym już falom przez serce przepłynąć.

Wniesiono wieczrę—Hipolit podał ramię matce i poprowadził do stołu. Dla pani była pularda, dla pana Hipolita kasza hreczana. W tem w przyległym pokoju zegar zasyczał. Pan Hipolit skoczył i znikł za drzwiami. Po chwili dał się słyszeć trzask jakiś, wpół urwany jęk kukulki—i zegar iść przestał.

— Co to się stało?—zapytała Grudowska powracającą.

— Nic, mateczko—złamałem tylko sprężynę w zegarze, by przebrzydła kukulka nie wystraszyła cię, jak to było przed sześciu laty... Pamiętasz, mateczko?

— Może pozwolisz kawałek pulardy?—pytała pani Karolina.

— A kasza? Ach, matuchno, ona mi w tej chwili lepiej smakuje, niż smakowały Kaniguli jeżyczki słowicze... Ale, ale...

Za czoło się schwylił.

— Oto gospodarz ze mnie! Przecie żadna uroczystość bez wina obejść się nie może... Ale—co ja dam mamie?

Podniósł się z siedzenia.

— Jest jakiś tokaj nie tegi, który chowam na przyjęcie rzadko pojawiających się u mnie gości... jest sauterne... Al—klasnął w palce,—mam już!

Zadzwonił nożem o brzeg szklanki.

— Sawku!—zwrócił się do wchodzącego wzrostka.—Ruszał mi zaraz do Szabrowskiej i każe jej wydostać z piwnicy butelczynę, która z lewej strony, w niszy leży przysypana piaskiem, bez etykiety... Ona wie, jaka. Na jednej nodze—marsz!

Obrócił chłopca twarzą ku drzwiom i pchnął lekko.

Sawko na jednej nodze rozkaz spełnił. Wniósł na tacy dwa kieliszki i pękata, pokrytą pleśnią starości butelkę węgryzyna.

— A „raritas,“ mateczko, prawda?—zaśmiał się pan Hipolit, wkręcając korkociąg.

Pani Karolina poruszyła głową.

— Hm! hm!... stać cię już na takie wino!—rzekła na pół z przekąsem.

Hipolit zaśmiał się—

— Nie poznajeś mateczka dobrej znajomej? Henryk i ja otrzymaliśmy od nieboszczyka ojca po butelce tego wina, zlanego w dniu naszych urodzin. Moje więc jest starsze o lat trzy. Użyję nam go pozwolił w dzień jakiejś wielkiej uroczystości. Dla Henryka była nią chwila ukończenia szkół—dla mnie dziś ona przypada... Zdrowie twoje, mateczko!

Pani Karolina przytuliła kielich do ust—

— Pyszne wino... pyszne,—szepnęła.

Po dwukrotnym spróbowaniu znów rzekła:

— Pyszne wino!

— Niech tobie służy mateczko, bo ja go nie wypiję, a nikomu już nie dam.

Zakorkował butelkę i na bok odstawił, jako już własność mateczyną.

Grudowska podziękowała synowi lekkim skiniem głowy. Milcząca była, jakaś nieswoja, widocznie, że myśli jej gdzieindziej odbiegały. Od chwili, gdy stanęła na progu mieszkania pana Hipolita, już kilkakrotnie poruszała ustami, jakby powiedzieć coś chciała, lecz doznane przyjęcie krępowało ją, którą tu przywiodła nie chęć widzenia się z synem, lecz całkiem inną przyczyną. Czuli, że byłoby okrucieństwem rzucić w tej chwili przepaskę mu z oczu, zamącić szczęście, niespodziewanem przybyciem swoim sprawione. W milczeniu więc spijała nektar winny, to bawiła się haftowanym rąbkiem batystowej chusteczki.

Po wieczery syn podał rękę matce i poprowadził do salonu. Milczący teraz był. Może go rozmarzyło wino, może jakieś złe przeciecia budziły się w sercu, może chciał, by teraz rozbrzmiewał dźwięk głosu matki. Patrzył na nią, jakby jej rzucił milczące pytanie: „I czemu ty nie mówisz?“ To spojrzenie drażniło nieco panią Karolinę, na czole pojawiła się fałda, kąty ust zacisnęły się lekko.

— Czy wiesz,—odezwała się nagle,—że miałam list od Henryka?

Dźwięk głosu był suchy, bezdźwięczny, tak dobrze znajomy panu Hipolitowi. Uczuł chłód mrozący, powoli, powoli, różowa przepaska z oczu mu opadała.

— Pisał? i co?

— Żeni się—odpowiedziała pani Karolina.

Pan Hipolit usiadł za abażurem lampy, chcąc ukryć bladłość, jaka w tej chwili twarz jego okryła. Zrozumiałem mu teraz stało się przybycie matki: była uradowana pożądaną dla siebie wieścią, a pragnąc nią z kimkolwiek się podzielić, nie zawahała się nawet przestąpić niewąstnego nogom jej progu. Uczuł, że mu coś krtą dławilo, że spadł z wyżyny na ziemię codziennych trosk, smutków i kłopotów.

— Nie cieszysz się?—spytała matka.

— Nie, mam, powiedzieć nie umiem. Nie znam narzeczonej Henryka.

— O to można być spokojny. Henryk, — do dała z przyciskiem, — złego wyboru nie robi.

— Tak sądzę —

— Ty sądzisz — a ja wiem!

— Oóż więcej pisze? — spytał prawie szeptem Hipolit.

— Zawiadamia mnie o swoim wkrótce nastąpić mającym się przybyciu i pragnieniu, ażebym poznała jego wybraną... Henrys przyjeżdżie i ja z nim wybiorę się do Lwowa.

— Jak się nazywa narzeczone Henryka?

— Teofila Krukowska, znany ród... Nie mało w nim było krzesel senatorskich i lasek marszałkowskich. Ja zawsze miałam dobre przeczuć, że Henrys rozjaśni przyćmiewający splendor rodziny, to też niech nikt się nie dziwi, że pierwsza myśl moja poświęcona była zawsze temu pierwow... A — nie... tyś starszy —

— Lecz tamten miłszy... — szepnął Hipolit.

Pani Karolina udała, że słów tych nie słyszy.

— Teofila Krukowska! — ciągnęła dalej pani Karolina! — Ładne imię, ładne nazwisko! Nie wnosi mu wprawdzie w posagu dóbr w ziemi, ale dla dzisiejszych Grudowskich, — dodała z westchnieniem — i dwakroć sto tysięcy florenów królewskim jest kąskiem. Fortuna się wciąż rozpada, działy — podziały...

Ostatnie słowa zginęły, jak echo, ze zgrzytem jakiejś niechęci, czy wyrzutu; towarzyszyło im lekkie wzruszenie ramion i ostra bruzda zarysowana na czole.

Była chwila gnębiącego milczenia. Hipolit miał głowę, opuszczoną ku ziemi, pani Karolina wodziła okiem po suficie.

— No, dobranoc ci, synu, — rzekła, powstając.

Wyciągnęła do pocałowania rękę, którą Hipolit do ust przycisnął.

— Mama tu przyjdzie jeszcze, odwiedzi mnie kiedykolwiek? — szepnął.

— Przeprowadź mnie przez kurytarz, dziwnie nie lubię tej szyi wąskiej — była odpowiedź.

Hipolit ujął matkę za rękę i wszedł do jadalnego pokoju.

— A wino? — rzekł.

Wziął butelkę i skierował się na kurytarz.

Otwierając drzwi z jadalnego pokoju do sieni, zdało mu się, że ktoś pierzchnął, jakby spłoszony i wpadł w wąską szyję kurytarza. Pan Hipolit wyraźnie słyszał szelest sukni i drobne, szybkie kroki uciekiniera.

Na progu mieszkania pani Karoliny spotkał Maryannę, przypatrującą się ciekawie idącemu. Twarz miała nieco zarumienioną, pierś falującą, jakby od lekkiego zmęczenia, — blado-błękitne, głupowate oczy wytrzeszczyła i patrzała niemi na pana Hipolita, jakby go dostrzegła po raz pierwszy w życiu.

Panu Hipolitowi żółło zakipiała w wątrobie.

Przygryzł zlekka wargi, brwi ściągnął, a nozdrza zawachlowały mu gniewnie. Wprowadził panią Karolinę do buduaru, gdzie stanęła przed biurkiem i, wzięwszy do rąk list niedawno otwarty, zaczęła go czytać długo, jakby nad każdym wyrazem myśl zawieszała, na każdym z nich skupiała baczna uwagę. Tak upłynęła minuta jedna i druga. Hipolit stał w oddaleniu dwóch kroków i czekał końca, lecz końca nie było.

— Dobranoc, Hipolicie, — odezwiała się po chwili pani Grudowska, nie odrywając oczu od listu.

Hipolit podszedł, ujął matkę za rękę i długi, długi pocałunek na niej wycisnął. Serce mu się krwawiło, a wargi drżały od bólu niewysłowionego.

— Dobranoc — szepnął.

Odchodził cicho, wpół pokoju zatrzymał się i spojrzał na stojącą wciąż przed biurkiem. Pan, Karolina batystową chusteczką ścierała nieznacznie ślad synoskiego pocałunku. Hipolitowi uderzyła krew do głowy, płomień uczuł w twarzy i była chwila, w której mu się zdawało, że się zatoczy i padnie, lecz do przytomności przyprowadził go widok panny Maryanny, stojącej z zapaloną świeczką w ręku w wylocie kurytarza i czekającej na wyjście rzadkiego gościa pani Karoliny. Wyszedł więc, poprzedzony

przez pokojówkę, która szła chodem kaczkowatym, z podniesioną głową do góry.

Ten chód wydał się impertynenckim panu Hipolitowi.

Gdy podszedł do drzwi, które były granicą między jego a pani Grudowskiej mieszkaniem, a panna Maryanna zatrzymała się w progu, — zwrócił się nagle ku niej i, zatapiając wzrok wściekły w balwanowatych jej oczach, syknął przez zęby:

— Pamiętaj waćpanna, że wiele mogę przebaczyć, ale nie wszystko!

To nagle zwrócenie się, ten wzrok i słowa, na razie zbiły z tropu powiernicę pani Karoliny. Stała chwilę nieruchoma, wytrzeszczonymi oczyma patrząc za odchodzącym, nagle trzasnęła drzwiami i ustom swoim rozwiązać się pozwoliła:

— Ot co? a to co? — zawołała piskliwym głosem. — Wawawaćpanna!... co za *wrażenie* się ot co! bez delikatności ni przyzwoitości nijakiej a to co!... Nienabrała się ja tutaj, ażeby mnie od waćpanny traktować ot co! a że sługa, to nie pańska sługa i nieczyjej łaski nie potrzebuję a co to!... Furfant jakiś!...

Pan Hipolit był już daleko i choć słyszał za sobą podniesiony głos panny Maryanny, ale znaczenia słów nie rozumiał, bo kradły je drzwi, z trzaskiem zamknięte i załomy zginającego się w kolano kurytarza. Ostatni wyraz przeleciał mu koło uszu jak szmer cichy i zabrzmiał w dobrej korekcie, ale nie wiedział już sam, czy był on własnością rozłoszczonej panny, czy zmieniło go echo w przelocie i w odmiennej formie przyniosło.

Pan Hipolit wszedł do kredensu.

Sawko już spał rozciągnięty, jak długi, na tapczanie, dogorywająca lampa pełgała, czarnym kopciem osypując się do koła. Pan Hipolit przycisnął lampę i przestąpił próg jadalnego pokoju.

Zdziwiła go niebywała dotąd cisza.

Obejrzał się w koło, zamyślił się, miał minę człowieka, który coś sobie przypomina, lub bada przyczynę dziwnego milczenia.

Wszystko jest w porządku: te same meble, ściany, rozsypujący się na kominku popiół, stół pośrodku i lampa u sufitu, rzucająca duży krąg światła. A jednak czegoś brak, czegoś nie staje.

— Al... —

Uśmiechnął się smutno.

Brakło rytmicznego dźwięku zegara.

Od lat trzynastu, bez przerwy, jak tylko wchodził do swego mieszkania, witało go głośnie „tik-tak“ zegarowe. Ten stary, pocziwy zegar, podczas długich, samotnych wieczorów przemawiał do niego w ciągu lat tylu; głos jego tylko słyszał i ochrypliwy śpiew kukułki, która mu na wpół żywą wydawała się istotą.

Zapalił świecę i zbliżył się do milczącego przyjaciela.

W otwartym okienku leżało ptaszcę z na pół otwartym dziobkiem, jakby zamordowane w chwili, w której z gardziółka wesoły śpiew miało wyrzucić. Skrzydełka miało rozpostarte, a główkę ku dołowi schyloną. Pan Hipolit wszedł na krzesło, otworzył boczne drzwiczki zegara i zaczął maszyneryą potrząsać, lecz próby wszelkie pozostały bez pożądanego skutku: zegar się nie poruszył, ni głosu wydał.

— Dogodziłem sobie, — szepnął, schodząc z krzesła.

Czuł, że oka nie zmruży, że to milczenie budzić go będzie.

Rzeczywiście, noc całą przepędził jak skazaniec. Parokrotnie wstawał i wahał się zegara poruszać — zachwiał się, nie wydawszy dźwięku żadnego. Brał do rąk gazetę, i zdawało mu się, że czyta zapomniał, nie smakowała mu nawet fajka, dręczyło go niewypowiedziane uczucie przykrości.

Kładąc się, to wstając, doczekał godziny piątej. Zmęczony był, senny, lecz ubrał się szybko i według zwyczaju, do stajen i obór poszedł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z RZYMU.

30 Grudnia 1898.

Zrobiłem niedawno wycieczkę do Palermo, miasta pełnego ozdób architektury i wspaniałych skał; Palermo wraz z zatoką, Palermo ze swą konchą złotą, którą określa półkole majestatycznych gór, rozłożone między wspaniałymi arabeskami góry Pellegrino, panującej nad miastem z północy i między górą Catalfano, zwieszającą się nad miastem ze wschodu; Palermo la Felice, Palermo błogosławione, napełnione balsamiczną wonią drzew cytrynowych, pełne ogrodów i wil.

Palermo jest rodzajem Wersalu sycylijskiego, gdzie stwierdza się na każdym kroku zamilowanie do wystawności i zrazem obrydlivosti, nadęty smak Burbonów z Hiszpanii, przedstawiający rzecz można Palermo na sposób teatralny, o ulicach wyłożonych płytami, o kościołach z nadmiernymi kopułami, przybranymi w malowidła i mozaikę, o pałacach z marmuru, między którymi snuje się upstrzony tłum, tłum szamerowany i elegancki.

Życie w Palermo drga i roi się głównie na wąskiej i długiej przestrzeni, jaką przedstawia ulica „Vittorio Emanuele“ prosta jak korytarz i przecinająca miasto na dwie części. Tę ulicę przerywa na krzyż ulica „Maqueda“, jednakowo prosta, jak ulica „Vittorio Emanuele“ i biegnąca także od jednego do drugiego końca miasta. Do tych dwóch ulic przytykają wszystkie inne, a na krzyżowce panuje największy ruch.

W tem to miejscu stoją tak zwane tu „Quattro Canti“, t. j. cztery ogromne gmachy, o fasadach przyozdobionych jak ołtarze, okolumnach, o statuetach z wyrażeniem pór roku i o sylwetkach świętych Palerma, co wszystko maskuje środek miasta i streszcza architekturę, pełną skrajności i napuszenia.

„Quattro Canti“, to centrum ruchu miasta i jego mieszkańców, którzy niezmiennie tu wystają przed czterema fontannami. Tu krzyżują się wciąż przyplływające i odpływające fale pieszych z powozami, dorożkami, które głośniejszą turkotem mowę ludzką, jakby umyślnie są wspierane krzykami sprzedawczy gazet i floraji...

Tu w tem miejscu gołem okiem można prześledzić całą długość ulic Maqueda i Vittorio Emanuele, podobne do korytarzy, po obu stronach których znajdują się wytworne sklepy. Tu codziennie pomiędzy 4 a 6 po południu odbywa się corso powozów na podobieństwo takiegoż w lasku Bulońskim lub „pod Lipami“, widowisko, które przedstawiają zamożne, wyglazurowane i wystrojone wyższe sfery tutejsze, a wnet z uderzeniem szóstej znikają.

Palermo to miasto wystawności, przepychu i ożywienia nadzwyczajnego w tym jedynym punkcie; tu widzi się arystokrację bogatą i starego rodu, towarzystwo lubujące się w widowiskach i rozkoszach. Wygląda to raczej na naród hiszpański, niż włoski: typy, elegancja i sztywność kostyumów. Poznaję w tych typach, o twarzach brunatnych i przyodzianych w kostiumy zbyt dopasowane, z kwiatkiem w butonierce, niby przychodniów widzianych na Turrii w Walencji. Prawdziwymi Włochami są tu chyba połyskujący swym rynsztunkiem oficerowie. Natomiast kobiety nie są tak piękne jak w Walencji. Ocieżale, otyłe, o wielkich czarnych oczach. Brwi, rzekłbyś, uczernione węglem, gęsty zarost włosów zdaje się zjadać ich czoła. Wszak to typ iberyjski, zakorzeniony tu przez długie panowanie dynastji aragońskiej, hrabiów Modica i wice-królów hiszpańskich.

Widać też trochę typu blondynów i blondynek, lecz to chyba z rasy francuskiej, bez szczególnej cechy, i to są najniezawodniej ślady domu tu niegdyś panującego Anjou, lub resztki z czasów najazdów normandzkich, albo też co naj-

mniej owoc postępu kosmopolityzmu... kosmopolityzmu zresztą istnieje anglo-saksońskiego, bo i na całej Sycylii na każdym kroku Niemców i Anglików się tu spotyka.

Ile tu monumentów! Ile bazylik! Ile mozaik! Jaka moc sufitów arabskich, zwieszających się w stalaktytach! Co za mnóstwo starożytnych kolumn z granitu i azbestu! Ile powłok marmurowych! Ile obłoków z kamienia! Ile tkanin i materij przewiązanych szarfami i ile sufitów, sklepień rzeźbionych, baldachinów roboty misternej i starannej, z jaspisów, porfirów i głazów ciemno-niebieskich! Ile złota na tem wszystkim, ile bronzu i ile przeróżnych stylów z różnych epok! Jest styl wschodu, łuki spiczaste arabskie, także normandzkie, są mury emalią wysadzone, herby i heraldyka wszystkich epok i wszelkich ras, herby Aragonów, Sabaudyi, Anjou, wszystko otoczone lub podtrzymywane aniołami, lwami o olbrzymich łapach i pazurach, delfinami. Ile pamiątek w tem wszystkim! A dopiero sarkofagi Roberta Guiscarda, króla Rogera, obudów Wilhelmów (dobrego i złego), Fryderyka II-go i Mainfroi, a dalej groby cesarskich dynastii hiszpańskiej, pomieszczonej z Hohensztaufami. Tu się też przypominają nieszpory (vêpres) sycylijskie i autodafé Karola V, najazd Francuzów i dwór neapolitański zbiegły do Palermo, legenda o św. Rozalii, kołysząca się po nad tem wszystkim. W Monreale jak i w kaplicy Palatyna, lub katedrze Duomo lub Martarana, na każdym kroku widać wpływy panowania normandzkiego, a widocznem też na jakimś wyciosanym z ciężkich marmurowych głazów grobowca z poduszką, inkrustowaną złotem, sarkofagiem, koroną, kulą z krzyżem, mieczem, że spoczywa w tem miejscu—cesarz.

Po przyjrzeniu się tym blaskom architektury i historii, rozkoszujemy się urokiem i spokojem cieniej wili Tosca (hotel przepyszny), wili włoskiej, klasycznej jeszcze obecnie, nie bacząc na jej dziwaczność. Tu laski pomarańczowe, labirynty, trawniki usłane statuami, most jakby z ruin przerzucony przez mały staw, z którego wyskakują drgające papirusy. Tu pod zębata arabeską niezmiernie wielkiej palmy mała świątynia o kolumnach doryckich, dokąd na spoczynek przybywa la Donna bella i z kądem spogląda przez stary mur, czy Sigisbée nie ukaże się na drodze... A w oddaleniu znów półkole groźnych gór, arena świetlnych i niebieskawych skał, które czynią ze znajdujących się na nich ogrodów Palermo „el paradiso del mundo.“ Dalej jeszcze „Favorita“, to lasek buloński Palermo, to miejsce spaceru dla melancholików i rozkochanych w samotności.

Het, bardzo daleko po za miastem, u krańca ulicy Maqueda, wielkie aleje obsadzone oleandrami i zielonemi dębami, przecinają w obszerne równoległoboki ogromne trawniki. Z kolei idą gajki drzew cytrynowych, obarczonych owocem, potem sady stuletnich drzew oliwkowych, blask zieleni różnorodnej i wreszcie rozkwitające kwietniki. U stóp drzew rabaty dzikich mietczyków; gdzieś niedaleko wznosi swój stożek czarny cyprys, służący jakby za cień rozległej szkółki drzewek, zasadzonych na ruinach u stóp góry Pellegrino, która wspina się całą swą olbrzymią masą po nad „Favorita“ i daje jej ochronę od północy kolosalnymi skałami, z pod których wytryskują aloesy i kaktusy...

A powietrze tu równe łagodności jedwabnej materji, przesyczone zapachem żonkwili i aż nadto dojrzałych cytryn, sprawia ci uczucie radości. Lecz czas opuścić Palermo.

Na opustoszałej „Marino“ pruje niby w smutku fale barka, posuwając się wzdłuż brzegu, z wznoszącą się na jej przodzie latarnią okrętową... Oświeśla ona bałwany, a pozostawia w cieniu i barkę samą i jej załogę. Barka o latarni, obok której drży sylwetka rybaka, zaopatrzonego w trójzab, oświeśla też kolejno olbrzymie pokłady skał grobli portowej i skręciwszy w bok, staje się już niewidzialną. Morze kołysze się, miarowe kroki strażnika celnego naruszają jedynie ciszę... I jakby widma poznikały jedne po drugich te barki rybaków, zaopatrzonych w trójzab, a z nimi pograżyło się we śnie Palermo, bo

to już północ. Niebo zatopione w wodzie; na dachach o formie tarasu, porozwieszana bielizna—gałgany; na fasadach domów kolory błota; powoli wszystko znika, w miarę jak oddalamy się statkiem od Palermo.

D. P.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg.)

XXVI.

N i e m c y.

Szczególniejszym typem germańskim był podporca kasy depozytowej Bydgoskiej... przyznawał się do pochodzenia angielskiego i zwał się Dogge... Może miał nazwisko niemieckie „Hund“ i przezwiał się z angielska, aby mniej pospolicie brzmiało—?—ale postać, zwyczaj, postępowanie—wszystko było czysto niemieckie.

Postać jego wysoka, dość smągła, zdawała się dwoistą... złożoną z człowieka i węża,—bo począwszy od tyłu głowy ponad kołnierzem ciągnął się wzdłuż plecy do pięty—uwity okrągło twardą czarną wstążką przeszło trzy łokcie długi warkocz—który za każdym poruszeniem głowy lub ciała w tysiącnych igrasł zwrotach... Wynikał on z głowy ciemno-blond, której przód zaczesany w górę włosiem stanowił gęstą szczotkę, panującą po nad świeżą jasną twarzą z dużymi niebieskimi oczyma, nosem lekko nagiętym, wypukłymi policzkami spadającymi ku brodzie w zaokrąglony trójkąt... a kończył się ten warkocz—boa kitką, ciemnozieloną omiatającą to podłogę, to kanapę, suknię damską, a przy wyższym poruszeniu głowy, to się i twarzom sąsiadów płci obojej dostało.

Niewiem, bo jeszcze dzieckiem byłam—jaki ten człowiek talisman posiadał, że powszechnie nim się zajmowano: czyli to jego pseudo-anglo-manizm, czy też nadzwyczajny dodatek do figury to zajęcie spowodował... ale młode i wytworne nawet panny lubiły się z nim bawić i zbyt uprzedzające w grzecznościach, ojeuszkiem go zwały (Vaterchen); — że go starsi lubili—to pojmuję... bo z depozytu wypożyczał pieniądze za pomierne procenta i dusera z których sam korzystał...

Miał żonę i dorastającą córkę, ładną i dość dobrze wychowaną panienkę—pracowitą jak wszystkie Niemki... Nieużywając żadnej urobiła 50 par pończoch w najpiękniejsze wzory; była to nadludzka praca dla każdej Polki... Niemka siedemnastoletnia dokonała jej... a gdy wyszły z pralni uwieszone długim rzędem w obszernem podwórzu, napawały jej miłość własną i równie drogą miłość własności niepojętem zadowoleniem...

W tem goście zajeżdżają—bawią późno w wieczór—służące zajęte przyrządami, usługą, państwo ich przyjęciem... a złodziej korzysta z sposobnej chwili... i zabiera kilkoletnią pracę, pociechę i chlubę milej, czynnej, zarazem sentymentalnej Tereski. Członek przed ołtarzem starożytnym dała się odportretować w fabryce porcelany berlińskiej na fajce ofiarowanej w dniu urodzin ojca—z napisem „Modłę się o Twe dobro“.

Ale źle się modliła: Wojsko pruskie rozbite zostało pod Jena—wyproszeni urzędnicy państwa pruskiego Kasa depozytowa będąca w ręku pana ojeuszka Dogge,—wcale nie po angielsku uwieziona przez niego, doścignięta została, gdy z nią dojeżdżał do Gdańska... byłaby z nim zapewne popłynęła na morze, ale Bóg nie chciał tyle „Dobra“ dla Ojeuszka—polska pogoń doścignęła pana Dogge, osadziła w poddaszach więzienia kryminalistów, gdzie otoczony plikami akt

depozytowych, tłamacząc się z użycia sum jego urzędowi powierzonych życia dokonał.

Teresa czyli Trottschen, umarła panią Kolbe, bardzo młoda, a jej matka utrzymywała się z szynku aż do schyłku życia. Pan Kolbe piękny i poważany powszechnie, ożenił się powtórnie, odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu, zdradzony dla młodego Polaka przez lekomyślną żonę. Tyle nieszczęść otaczało istnienie ślicznej Trottschen. Ale bo po co też przed pogańskim ołtarzem modliła się do chrześcijańskiego Boga? Przewrotność wyobrażeń ówczesnych w wielu odcieniach przedstawiała to dziwne skierowane uczucie... Byłż-to uczucie? Nie—to usterki rozumu ludzkiego, bo uczucie tylko na tle prawdy spoczywa.

Drugim pierwowzorem innego rodzaju był wówczas młynarz Kopplin.

Zbudował on najpierwszy w kraju młyn olbrzymi z rozmaitemi w fabryczny sposób urządzonymi zakładami—udekorowany z przepychem w całym swym rozkładzie. Obliczenie było doskonałe, bo mimo wytworności ozdób i nadzwyczajności przedmiotu—młyn przyniósł ogromne zyski właścicielowi, dogodność okolicy. Szanowano też pana Kopplina—i miał wstęp do domów najarystokratyczniejszych—co było nie małą rzeczą pośród ówczesnych uprzedzeń.

Matka moja—gdyby tam sam Montefior albo Rotschild przyjechał do jej domu—nie byłaby z nim usiadła do stołu—i były takie przypadki; raz że są żydami, a potem nie szlachtą starą i prawego karmazynu. Ale umarła w r. 1876— a cztery lata później widywałam w salonach p. Kopplina—po gburku—w bardzo cienkim granatowym surducie, długim do kostek, z wielkimi jak talar guzikami—w pończochach pstych jedwabnych i trzewikach z srebrnymi lub złotymi sprzączkami. Włosy jego długie, spadające na ramiona, z nad całego czoła i skroni na tył głowy zaczesane, utrzymywał długi wążki grzebień od ucha do ucha; — fajka i kapeciuch, nie używane jeszcze między Polakami, kompletował ten kostjum— a wchodząc Kopplin ustawiał w rogu pokoju— nie szpadę— ale wysoką laskę z złotą gałką— a na niej niewielki na trzy rogi zastosowany kapeluszek. To też wtenczas szatana w takim malowano kapeluszu, czarno, kuso, z ogonem, na kopytkach końskich i zawsze w susach.

Ten Kopplin miał tylko jedną córkę; edukował ją starannie, t. j. kazał uczyć wszystkiego, czego tylko uczono panny znakomite. Posiadała niektóre talenta, miała swe pokoje, pannę służącą; żadnego jej ojciec nie odmawiał zbytku, wiodła życie panińskie, t. j. beczynne. Cieszył się ojciec, że uczona, bo ciągle czytała—romanse— i wykradawała sobie ludzi i świat podług nich. Ubiegało się o tak majątną i ładną jedynaczkę wielu urzędników niemieckich—i niejeden z szukających losu młodych Polaków rzucał tam swe myśli, ale przewrotność romansowa tej młodej Niemki odstraszała każdego.

Nareszcie poszła za jakiegoś *regierungsrate* niemieckiego. Cóż? kiedy to był człowiek zwyczajny, bo chciał jeść, pić, czysto się ubrać, wypalić kilkanaście fajek, iść na sesję, popracować w papierach; z piórkiem za uchem wszedł często do jej pokoju— a to wcale nie było skrzydłem Merkurego; laska jego nie była pasterza arkadyjskiego, nie ważył sprawiedliwości na szalach Temidy, ale doskonale szportle wyrachować umiał.

— Pfe!—zawołała romansowa młynarczanka—to człowiek powszedni! nie spoił się z mojem uczuciem, nie odpowiada memu ideałowi, nie mogę być jego żoną. Przyznaję, że bardzo szanowny, godny, uczciwy, grzeczny, ale wszystko mnie w nim gniewa, bo przytem sztywny, wyrachowany, rozumuje aż młodo; a gdzież u niego fantazja, łatwość, dowcip, entuzjazm? Oh! mnie trzeba panować nad sercem mnie tylko bezwzględnie oddanem...

Rozwiodła się.

Graf Klingsporn, Niemiec młody, długi, posażny, trochę muzykalny, instrumentalny i wokalny, przewracał oczy przy fortepianie, a w uniesieniu, gdy towarzyszył namiętnemu śpiewowi, często przyparłszy dłońmi klawisze, ledwo

ich z posady nie wylamywał, wyciągał konwulsyjnie długie nogi, a ryl wtenczas ostrogami frotowaną posadzkę: zapewne tak lubił przycepić „brzmiające ostrogi,” aby odpowiadały jego nazwisku (klingende Sporen). Dość, że tytuł, imię, talenta i osoba podobały się romansowej rozwódce. Nie wiem jak się to stało, ale gdy pan Klingsporn zaczął marnotrawić majątek, pani hrabina — prawa Niemka, przypomniała sobie naukę pobieranej niegdyś arytmetyki, bardzo wprawdzie prozaiczną — i znów rozwiodła się córka Kopplina.

Wojska francuskie wkroczyły. Generał francuski, nie w ciemną bitwę, zdobył serce i otrzymał rękę pięknej hrabiny — skierował umysł, oświecił i wkrótce wyedukował na bardzo porządną osobę. W kilka lat później zginął; już nie poszła za mąż, a lubiona odtąd powszechnie, używała długo poważania tych, co ją niegdyś wysmiewali. Zapomniałam jej ostatniego nazwiska, jeżeli mi przyjdzie na pamięć, to go umieszczę, bo warte wspomnienia imię człowieka, co tak prędko mógł dokonać reformy.

Pocziwy jej ojciec Kopplin, umierając, pokazał język całej publiczności bydgoskiej, — taki mu ogromny urosł przy skonię, że z podziwieniem o tem długo mówiono; młyn jego jeszcze dostarcza wygodę życia i licznymi swoimi ganki przemawia do miasta, przypominając mu przemysłowego, skromnego i uczciwego Kopplina, którego wszystkie zasoby majątku, smaku i uczucia wylewały się na młyn wspaniały i ukochaną córkę.

Pomnę już biografię pani Kleist, żony pierwszego pruskiego urzędnika, ładnej i młodej, co jak Kleopatra, w przebraniu służącej, ze swą powiernicą w późny wieczór zwiedzała brudne zakątki miejskiego popołu, nie pominawszy nawet odwachu, z kąd wykryły się jej tajemnice: albowiem figurowała dotąd pomiędzy pierwszemi damami. Nie wspomnę pani Gr...skiej, mężatki, urodzonej Niemki, słynnej pięknoscia, co jeszcze ze swemi córkami w zawody ubiegała się o zdobycie serc mężkich i cudnie im przewodniczyła. Pomnę owe handle na żony tak często się powtarzające. Ale też ci cudzoziemcy z nienawidzenia, ledwo wstęp zyskując do domu, nigdy nie obudzający społeczeństwa, przy wzrastającym mieniu, zapragnąwszy towarzyszek, musieli wybierać pomiędzy sługami swych domów... i dla tego nikczemne obyczaje wkradłszy się w ich społeczeństwo, zarażały nimi i te kobiety przyzwolone, co w nim udział miały, a jeżeli która się odróżniła od innych, to była nieszczęśliwa ofiara, z nienawidzoną od towarzyszek, a zawsze prawie usuniętą z domów polskich, które unikały zetknięcia, jeżeli ich interesa nie zmuszały; a zawsze ostrożnie usuwały się od poufalskości.

Nie mogę zapomnieć majora Schlieben, czerwonego tłustego oficera, niewidomego na jedno oko, na którym szeroką czarną nosił wstęgę z ukosa na wysokim zawiązanej czole. Żona jego niemniej otyła, wesola Niemka, matka rozpustnego synka, żyła w nierozrywaniu towarzystwie z bladym, żółtym blondynem, którego adjutantem tytułowano; zdawało się, że nim był przy boku pani majorowej. Te cztery osoby w najpiękniejszej żyły zgodzie.

Tak ci cudzoziemcy zarażali brudną rozwiązłością tchnące już zgubnym seitymentalizmem i zalotnością powietrze naszego kraju, słynącego dotąd skromnością, powagą i surowością obyczajów, które chociaż zsuwały się z swej wyniosłości, nie spadły były do cynizmu.

Był natenczas w Bydgoszczy rodzaj resursy, ochrzczony nazwiskiem „Harmonii.” Nie wiem,

jaka mogła panować harmonia... bo pomiędzy urzędnikami to chyba monotonia, a wtenczas jeszcze bardzo trudno było znaleźć obywatela Niemca w tej okolicy, co dziś samymi niemieckimi brzmi nazwiskami. Polski ton tak mało się ze śpiewką niemiecką zgadzał, że przypomina różnicę powitania: *Czego chcesz?* i *Was bringst du mit?* — tak znanego ówczesnym rodakom moim.

Są to wspomnienia dzieciństwa mojego, wsparte późnijszym powtarzaniem starszych osób mnie otaczających. W nich — dziecko — miałam udział, ale te obrazy przesunęły się przed oczami memi, utkwily w pamięci, lubo ściślej ich rozbiór do późnijszego mego należy wieku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— W magistracie zapadła decyzja oddania spółce, na czele której stoi p. Lucyan Wrotnowski, tramwajów warszawskich w administrację poręczającą na cztery lata.

— Wnętrze ogrodzenia pomnika Mickiewicza zaczęto urządzać pod kwietniki i trawniki ozdobne. Estradę, ustawioną dla orkiestry, oraz poddyum, wybite sukrem szkarłatnym, usunięto. W tych dniach zaczęto zwozić w znacznej ilości ziemię inspektową pod rośliny, które będą zasadzone z wiosną r. b.

— Do departamentu medycznego, w tych dniach wniesiono nowy projekt o nadaniu praw otwierania aptek wszystkim osobom, mającym tytuł prowizora, bez starania się o oddzielne pozwolenie.

— Według obliczeń ministerjum skarbu, dochód z nowego podatku przemysłowego, który wchodzi w życie z dniem 13 b. m., wyniesie w 1899 roku około 31,000,000 rubli.

— W tych dniach, w Banku Państwa, spalono papierów bankowych oraz starych biletów kredytowych na 10 milionów rubli.

— Pisma rosyjskie donoszą, że z chwilą wypuszczenia do obiegu monety złotej 10-rublowej, przyspieszone zostanie wycofanie banknotów 1, 5 i 25-rublowych. Pozostaną w obiegu tylko 3-rublowki papierowe i banknoty wyższej wartości, mianowicie 100 i 500-rublowe. „Praw. Wiest.” opisuje zewnętrzny wygląd nowych 10-rublowek złotych. Najwyżej zatwierdzonych w d. 2 b. m. Po jednej stronie znajduje się wizerunek Najjaśniejszego Pana z napisem w koło: „Z Bożej Łaski Mikołaj II Cesarz i Samodzierzca Wszechrosyjski; odwrotna strona monety wyobraża herb państwa, napis 10 rubli i rok bicia monety. Na grzbiecie wkleśłemi literami zapisana jest ilość czystego kruszcu, w tej monecie się znajdującego.

— Cesarsko-rosyjskie Towarzystwo techniczne postanowiło przedstawić na wszechświatowej wystawie paryskiej 1900 r., o ile możności zupełnie wierny obraz tego, co uczyniono w Rosji w dziedzinie elektrotechniki. W celu zgromadzenia wszystkich potrzebnych do tego materiałów, rysunków rycin i opracowania do objaśniającej jej broszury, podług doniesienia pism, utworzono oddzielną komisję, pod przewodnictwem J. Kowalskiego.

— W sekcji higieny ludowej omawiano kwestyę szczepienia ospy. Dr Chełchowski zdał sprawę z rozesłanego przez siebie kwestyona-ryusza. Na podstawie odpowiedzi, otrzymanych od 40 lekarzy, referent doszedł do przekonania, że ospa szerzy się u nas straszliwie. Na milion ludności pada ofiarą tej choroby 700 osób. Najlepiej stosunkowo przedstawia się gubernia kielecka. Dr Polak wyjaśnił przepisy, obowiązujące za granicą. Na najbliższym zebraniu, które się odbędzie za dwa tygodnie, toczyć się będzie dyskusya nad środkami zmniejszenia straszliwej epidemii. Zebranie było liczne i trwało do późnej nocy.

— Z pod Sandomierza piszą do „Gaz Rad.” Ks. Karol Targowski zainicjował z ambony bardzo piękną myśl, która zaraz została wprowadzona w wykonanie, mianowicie: wychodząc z założenia, że jest wielu biedaków, którzy nie posiadają funduszu nawet na kupno zwyczajnego kołacza na święta Bożego Narodzenia, obeszł z taczką kościół katedralny, zachęcając najmniejszych parafian do podzielenia się, wedle możliwości, z biedniejszą bracią. Gorące przemówienie proboszcza poruszyło serca wiernych, skutkiem czego posypały się ofiary i złożono kilkadziesiąt rub.

Oddział Rozdawnictwa Odzieży i Opału

przy W. T. Dobroczynności.

W obecnym zimowym sezonie Komitet rozdawnictwa odzieży i opału dla ubogich miasta Warszawy, rozpoczynając doroczną działalność swoją, ma zaszczyt zwrócić się do Szanownej Publiczności, na najuprzejmiejszą prośbę o poparcie instytucji, mającej na celu przysięgę w pomoc ubogim wszelkiego wieku i kategorii, t. j. dzieciom, starcom i ludziom pozbawionym możliwości pracy i narażonym na choroby skutkiem zimna i braku odpowiedniej odzieży. Wszelkie, bodaj najskromniejsze ofiary pod postacią tak datków pieniężnych, jak węgla, materiałów wysortowanych lub garderoby używanej, będą przyjmowane z największą wdzięcznością. Uprasza się o nadsyłanie takowych pod adresem kierującej rozdawnictwem Pani Gabryeli Rychłowskiej w Warszawie ul. Wielka Nr. 45. Znając litościwe serca naszej Szanownej Publiczności, jesteśmy głęboko przekonani, że pośpieszy ze swoją pomocą i poparciem w tej wielkiej sprawie miłosierdzia. Polecamy też gorąco prośbę naszą wszystkim sercom litościwym, pozostając z poważaniem

Prezesowa Zofia Kossakowska. Główna Opiekunka Zofia Hartingh. Protektorka Marya Wincentowa Colonna Walewska. Kierująca rozdawnictwem Gabryela Rychłowska. Sekretarz Antoni Kudasiewicz.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołącza się: arkusz 7 powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S.

Treść: Piotr Chmielowski. Nasza krytyka literacka w wieku XIX-ym (dalszy ciąg). — Przy kominku (Pogawędka), przez ?? — Z niedrukowanych poezji Maryi Bartus. Do dziewczyny. (Z albumu Szczęsnej. — Kazimierz Gliński. Krzywdy. Powieść (dalszy ciąg). — Z Rzymu, przez D. P. — Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 7-my. — Przegląd mód. 18 wzorów i robót z opisem. — Sekrety gospodarskie. — Dyspozycja obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków. — Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg. Дозволено Цензурою. — Варшава, 30 Декабря 1898 г.



Nr 1. Tulaeta wieczorowa z koronkowym stanikiem.

Ozdoba na ścianę i poduszka robotą smyrneńską.

Rycina Nr 46, 47, 21 i 23 w Bl. Nr 1. (Deseń odwrotna strona tablicy, fig. 118 i 119.)

Rycina nasza przedstawia nader uproszczoną robotę smyrneńską, którą jak wskazuje rycina Nr 23, wykonywać można jedynie przy pomocy grubej kanwowej igły. Na materiał użytą jest mocna lniana tkanina w połączeniu z pasami z materiału „Jawa” w brudno-czerwonym kolorze. Kwiaty i wazony wykonywają się ścięciem wypukłym, łodygi ścięciem płaskim. Do wykonania szlaków użyty jest ściąg płaski. Na poduszce powtórzony jest ten sam deseń. Ozdobę na ścianie zakończą frendzla (patrz rycina Nr 21) szeroka 70, długa 115 ctm. Pas z materiału „Jawa” jest 15 ctm, szer. Odstąpiwszy od dolnego brzoza 5 ctm, wykonywa się deseń podług fig. 118. Pomiędzy deseniem a górnym szlakiem pozostawia się odstęp 3 ctm. szeroki. W kolorach, dobieranych do tego desenu, do wyszycia którego używa grubą szwedzką włóczkę, powinny przeważać cienie zielone, zresztą dobór kolorów pozostawia się uznaniu.

Kamasz damski.

Rycina Nr 43 w Bl. Nr 1.

Ścięciem zwykłym wykonany kamasz ten przedstawia nowość przez zastosowanie filcowej podeszwy, którą przyszywa się do kamasza na drutach, robionego w ten sposób, że tylko obcas bucika pozostaje wolny.

Kasetka na biżuterię, ozdobiona haftem i wstążeczką rokoko.

Rycina Nr 45 i 48 w Bl. Nr 1. (Deseń pierwsza strona tablicy, fig. 61.)

Bardzo ładną tę kasetkę, wyłożoną wewnątrz niebieską jedwabną morą, bardzo łatwo jest wykonać, można z mocnego teksturalnego pudełka. Wieczko, jak 6—7 ctm. wysokie ścianki, obciągnięte są morową wstążką lub morą, na której wyszywa się podług ryciny Nr 48, haft wstążeczką „roking” i złotą nitką. Prócz tego, brzegi

oklejają się wstążeczką, pokrytą złotym sznureczkiem, w ząbki ułożonym i złotymi pailletkami. Deseń na wieczko wskazuje fig. 61. Kiedy już pudełko wyklejone jest w środku, należy obciągnąć je przygotowanym haftem, brzegi zaś oszywa się złotym sznurem.

Tulaeta wieczorowa z koronkowym stanikiem.

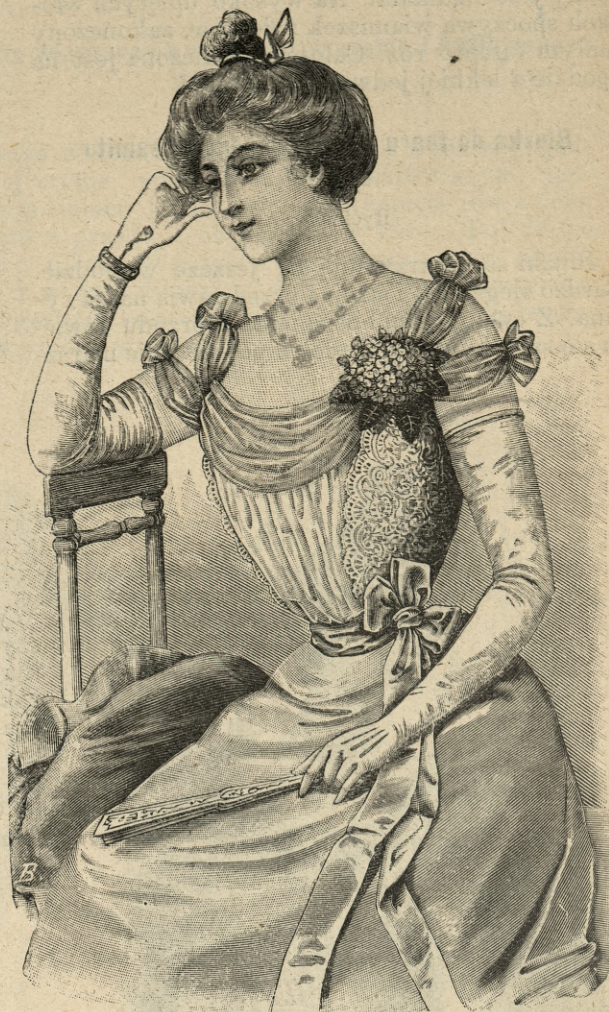
Rycina Nr 1.

Tulaeta niniejsza stosowna też dla osób starszych, składa się z długiej spódnicy z lila atlasu i takiegoż stanika z małą frakową baskiną i kamizelką w kształcie krzyżującej się chusteczki z gazy jedwabnej. Stanik przykryty jest czarną koronką, która z przodu, długimi końcami schodzi aż do dołu spódnicy. Przód pomiędzy temi dwoma końcami pokrywa czarna sznelowa siatka. Sznelowa frendzla stanowi zakończenie pół-długich rękawów. Wycięcie stanika ujęte jest kołnierzem Mediceis, wykonanym z lila atlasu, z zewnętrznej strony pokrytym czarną koronką, z wewnętrznej—żółtą gipiurą.

Balowa tulaeta dla młodych osób.

Rycina Nr 2.

Spódnica gładka, powłóczysta, z bladobiałej materii. Stanik przykryty kosztowną, piękną gipiurą, tworzącą rodzaj szeroko-otwartego z przodu bolera. Przód



Nr 2. Balowa tulaeta dla młodych osób

wypełniony jest marszczoną gazą, draperya z tejże gazy, przy wycięciu, przeciąga się na ramię i tworzy dwa spięcia. Na lewym ramieniu przypięty jest bukiet hortensyi, w stanie z lewego boku związana jest wstążka atlasowa na kokardę z długimi końcami.

Tulaeta wieczorowa z czarnego tiulu z kolorową spódnicą.

Rycina Nr 3.

Na różowej, jedwabnej spódnicy, spływa w kształcie tiuniki druga spódnica z czarnego tiulu, haftowanego pailletkami. Z tyłu zapięty staniczek, obciągnięty jest takimże tiulem. Z przodu stanika tiul, ułożony jest w kształcie kamizelki, odznaczony również pailletkami, naszywaną koronką. Zamiast paska, stanik u dołu gęsto jest naszyty pailletkami. Rękawy zastępują dwa przepięcia z tiulu. Na ramieniu przypięty bukiet z róż.

Wachlarz z fiołków parmeńskich.

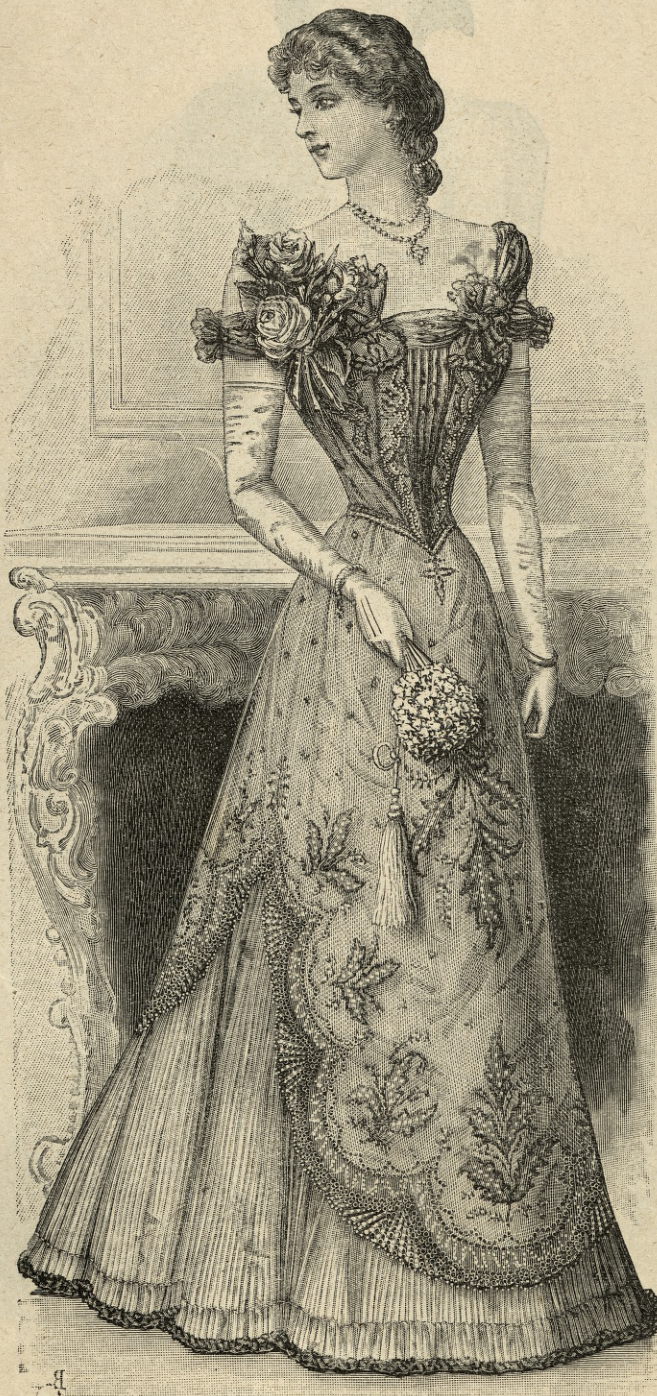
Rycina Nr 4.

Pomimo rozmaitych nowości, przeważnie między wachlarzami z piór i koronek, od czasu do czasu zjawiają się jeszcze inne, równie piękne, jak np. wskazany przez nas wachlarz, ułożony cały z pięknych parmeńskich fiołków. Zamknięty, tworzy, jak rycina wskazuje, zręczny okrągły bukiet. Nie potrzeba dodawać, że wachlarz ten powinien być nasycony zapachem odpowiednim do kwiatów.

Balowa tulaeta dla młodych panienek.

Rycina Nr 5.

Bardzo skromna, a jednak wdzięcznie i elegancko wyglądająca, wskazana przez nas tulaeta, z bladoniebieskiej gazy, pokrytej kropelkami rosy, składa się ze spódnicy z wysoką falbaną i bluzkowego staniczka, marszczonego dookoła. Przyszyte są girlandami z róż, na pasek i na kokardy



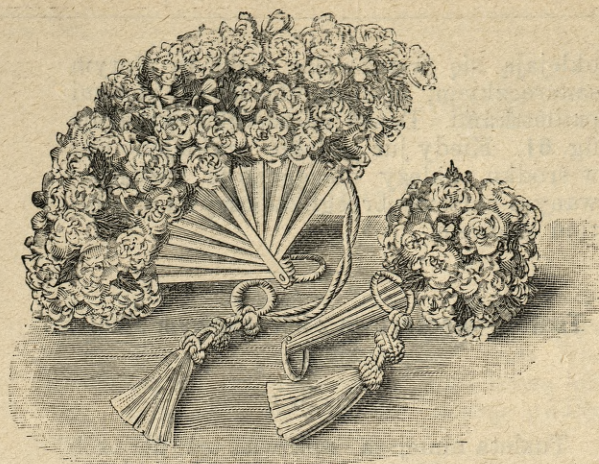
Nr 3. Wieczorowa tulaeta z czarnego tiulu z kolorową spódnicą.

przy ramionach użyta jest atlasowa wstążka. Na lewym ramieniu przypięty bukiet z róż, pomieszany jest z fiołkami. Na wysoko upiętych włosach spoczywa wianuszek z fiołków, zakończony małym tufem z róż. Całość wykończona jest na spodzie z lekkiej jedwabnej materii.

Bluzka do tearu z haftowanego aksamitu miroité.

Rycina Nr 6.

Bluzki stale utrzymują się jeszcze w modzie. Bardzo elegancką i strojną przedstawia nasza rycina. Z tyłu gładko obciśnięta, z przodu otwiera się szeroko na kamizelce z poprzecznie marsz-



Nr 4. Wachlarz z fiołków parmeńskich.

Wizytowa sukienna suknia, przybrana haftem.

Rycina Nr 8. (Plecy odwr. str. tabl.)

W modelu wykonana była z lila sukna, haft zaś wyszyty białym jedwabiem, w połączeniu z cieniowaną lila sznelą. Na staniku haft ciągnie się brzegiem szerokich wyłogów i odstającego kołnierza, oraz zakończy rękawy, na spódnicy zaś brzegiem z boku otwartej tiuniki. Stanik dopełniony jest kamizelką z białego sukna i szerokim krawatem z białego crêpe de Chine, związanym na dużą kokardę i zakończonym frendzlą.



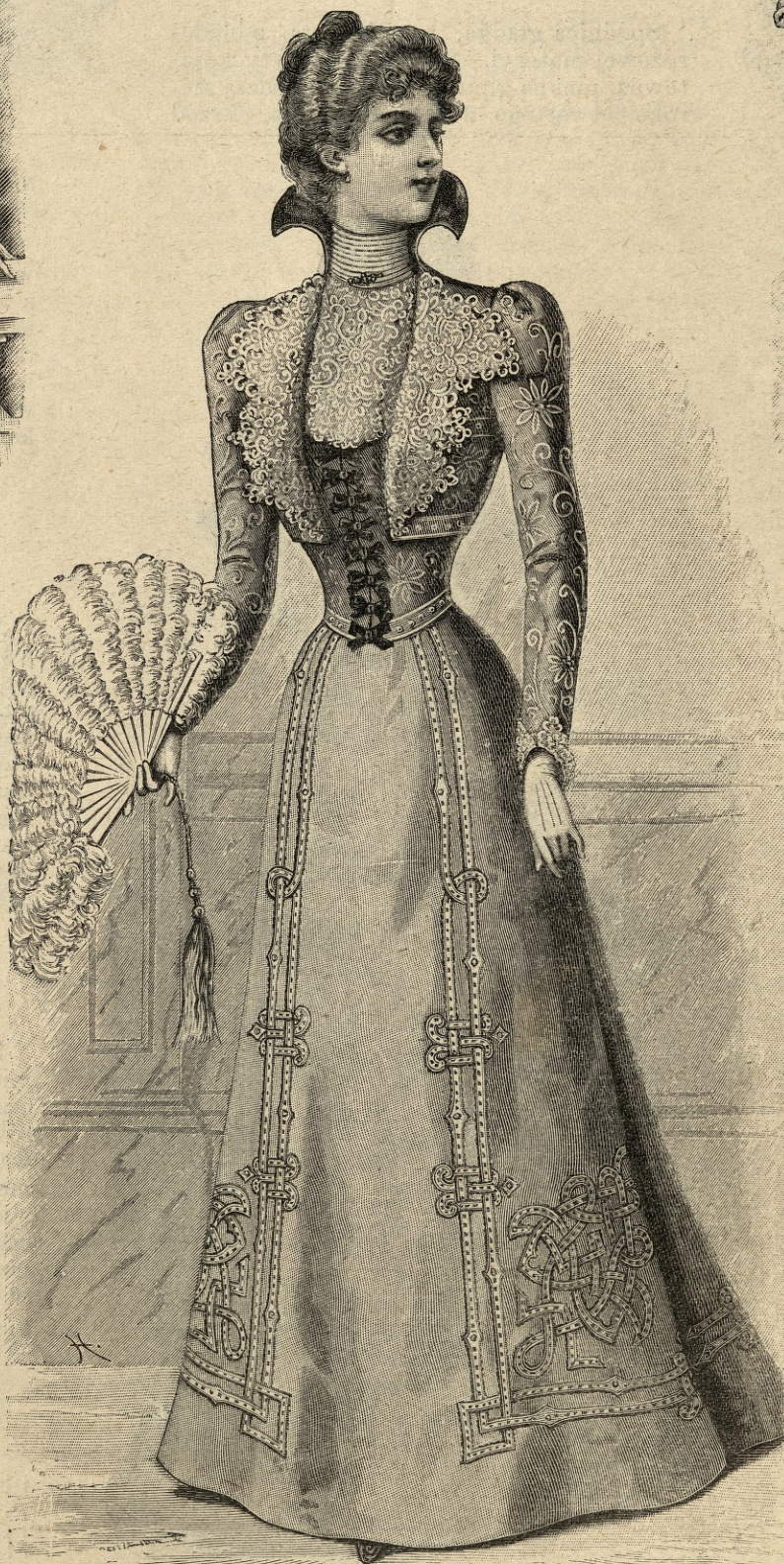
Nr 5. Balowa tualeta dla młodych panienek.

czonej białej gazy, nadto przody bluzki podłożone są podwójną, plisowaną, gazową falbanką. Wzdłuż przodów, w górze rękawów, przy krótkich epoletach i przy rękę wokół lejkowato zakończenia, naszytym jest piękny haft z białego jedwabiu. Biała wstążka atlasowa, związana z boku na dużą, sutą kokardę, zastępuje pasek.

Tualeta wizytowa sukienna z haftem.

Rycina Nr 7.

Piękny haft, połączony z aplikacją z białego sukna, na suknie turkusowego koloru, nader strojnie przybiera skromną fasonem tualetę. Kolor sukna może być zmienny wedle gustu i koloru włosów, haft pozostaje zawsze biały. Na spódnicy powłóczystej, wykończonej na jedwabnej podszewce, haft ciągnie się wzdłuż przednich szwów i zakończony na rogach dużym wydatnym deseniem, obejmuje spódnice dookoła. Z przodu, na haftki zapięty staniczek, obciśnięty jest wązkim paskiem. Krótkie bolero, także pokryte haftem, przybrane jest z przodu haftowanymi wyłogami, które się rozchodzą na takimże haftem, pokrytym napiersnikiem. Kołnierzyk od bolera, wysoki, odstający, podszyty jest aksamitem odmiennego koloru. Rękawy całe zahaftowane, zakończone są małym odwiniętym mankieciem.



Nr 7 Tualeta wizytowa z sukna z haftem.

Balowa okrywka, przybrana haftem.

Rycina Nr 9. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 29—39).

Stosowna dla starszych osób z białego kaszmiru, okrywka, na jedwabnej pikowanej białej podszewce, oszyta jest wokół białymi strusimi piórami i przybrana falbaną, pokrytą haftem, wykonanym białym jedwabiem i złotą nitką. Przyszyte falbany przykryte jest taśmą, plecioną z białego jedwabiu i złotą. Także sama falbana pokrywa kołnierz w kształcie pelerynki, przyszyty do karczka.

Koszula i majtki do balowych tualet.

Rycina Nr 10 i 11. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 111—117).

Rycina przedstawia bardzo cienką, batystową koszulę, oraz majtki, przybrane piękną valen-



Nr 6. Bluzka do teatru z haftowanego aksamitu miroité

ciennej. Szeroka koronka, ząbkami aplikowana do przedniego stanu, ułożona jest w fałdki i tworzy karczek; węższa, gładko przyszyta do stanu tylnego. Fałdki na przodzie koronki przytrzymane są haftowaną wstawką do nawlekania, z pod której wysuwa się węższa koroneczka, okalająca wycięcie koszuli dookoła.

Majtki składają się: z górnej części wygodnej, szerokiej i z falbany, którą dowolnie przybierać można. Zakładki, koronki, wstawki i hafty, tworzą strojne i nader gustowne kombinacje.

Kostium przybrany haftem i oszyciem z karakułów.

Rycina Nr 12. (Krój i deseń odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 72—78).

Materiał—sukno koloru terracotta, przybranie—haft ręczny sznelą w ciemniejszym, aniżeli sukno odcieniu i oszycie z karakułów. Spódnica składa się z trzech falban, podszytych materią, każda z falban przybrana jest haftem i oszyta karakułami. Dwie górne rozchodzą się z przodu, dolna, nie odcięta od przodu, stanowi z nim jedną całość. Haft na gładkim staniku z przodu i na plecach powtórzony jest trzy razy i przeciąga się pod paskiem na krótką baskinę, na rękawach ciągnie się od ręki do ramienia. Kołnierz, stanik wokół i rękawy, oszyte są karakułami. Pasek z wąskiej repsowej wstążki spinają dwie strassowe agrafki.

Kostium wizytowy z aksamitnym haftowanym stanikiem.

Rycina Nr 13. (Krój odwrotna strona tablicy fig I i II).

Bardzo ładną nowością jest do gładkiej, z tyłu na rząd drobnych guziczków zapiętej spódniczki z popielatego sukna, stanik ze szmaragdowego aksamitu, pokryty sznelowym haftem



Nr 9. Okrywka balowa, p zybrana haftem.
(Krój pierwsza strona tablicy Nr IV, fig. 29—30).



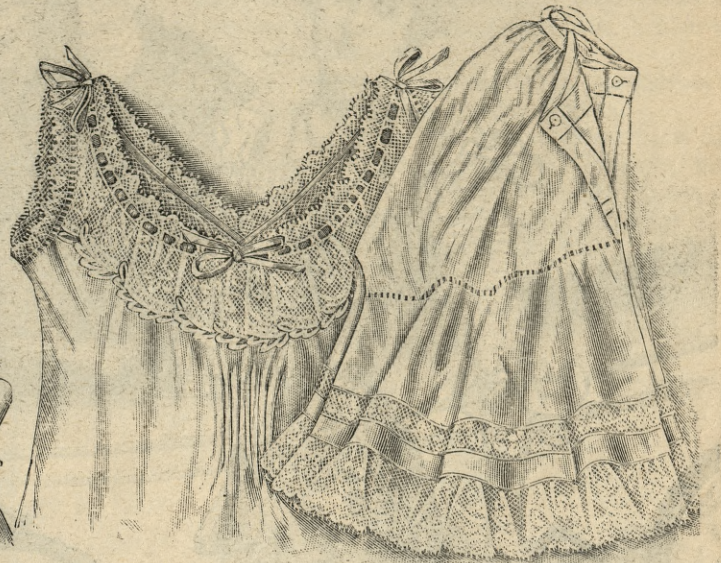
Nr 8. Wizytowa sukienka, przybrana haftem.
(Pleczy odwr. str. tabl.).

loru stanika, do lewego przymocowany jest bukiet polnych róż, pasek ze wstążki zakończy rozeta z gazy.

Tualeta wieczorowa z jasnego jedwabiu i haftowanego czarnego tiulu.

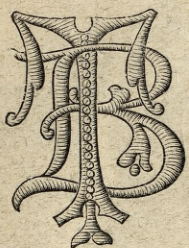
Rycina Nr 15.

Bardzo strojna i kosztowna tualeta z materii jedwabnej crème, pokryta czarnym haftowanym, jedwabnym tiulem, formą princesse, zapięta jest z tyłu, wycięta z przodu i na plecach w karo. Pół-długie rękawy z kremowej gazy zakończają przy ramionach i w dole falbanki, oszyte czarną aksamitką. Duża gazowa kokarda, przypięta brylantową broszką przybiera wycięcie z przodu.



Nr 10 i 11. Koszula i majtki do tualety balowej.
(Krój odwrotna strona tablicy Nr XI, fig. 113 — 117).

w ciemniejszym odcieniu i zapięty na drobne złoczone guziczki. Wysoki, odstający kołnierz, schodzący szalowato aż do połowy przodu, podszyty jest ciemnymi nurkami. Mufeczka haftowana aksamitna, z nurkowem obłożeniem, oraz filcowy zielony kapelusz, także oszyty futrem, dopełniają ubrania.



B. T.

Tualeta wieczorowa ze stanikiem z gazy i aksamitną spódnicą.

Rycina Nr 14.

Tualeta niniejsza stosowna dla młodych osób, składa się ze spódnicy szafirowej aksamitnej i poprzecznie marszczonego, wyciętego stanika z niebieskiej gazy. Wycięcie otacza leciuchna draperya z gazy, oszyta tiulową białą riuszką. W pośrodku przodu draperya spięta jest rozetą. Leciuchne, gazowe marszczone rękawy tylko od spodu przyszyte są do stanika i pozostawiają wązkie pasek ramienia nie zakryty. Na ramionach upięta jest gaza i wstążka ko-



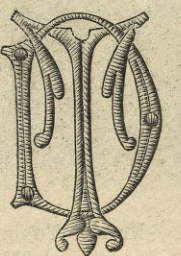
Nr 12. Kostium, przybrany haftem i oszyciem z karakulów.
(Krój i deseń odwrotna strona tablicy Nr VII, fig. 72 — 76).

Nr 13. Kostium wizytowy z haftowanym aksamitnym kattanikiem.
(Krój spódnicy odwrotna strona tablicy fig I i II).

Kostium wizytowy z frakowym stanikiem.

Rycina Nr 16.

Materiał — jasno-popielate sukno. Spódnica gładka, wycięta kliniasto z przodu, podłożona tym samym materiałem, pokrytym sznelowym, ciemniejszym haftem. Stanik przedłuża



D. T.

się z tyłu w kształcie fraka, z przodu rozchodzi lekko na kamizelce, pokrytej takim samym haftem, jak przód spódnicy. Haftowane wyłogi łączą się z wykładanym kołnierzem z szafirowego aksamitu. Tenże aksamit użyty jest na mankiety przy rękawach i na patki, naszyte poniżej stanu. Złoczone, drobne guziczki, stanowią dopełnienie całości.

Suknia domowa z haftowanymi wyłogami.

Rycina Nr 17.

Suknia domowa, zstosowna też i na poobiednie przyjęcia, wykonana z jasno-zielonego sukna, składa się ze spódnicy powłó-



Nr 14. Tulaeta wieczorowa ze stanikiem z gazy i aksamitną spódnicą.

Nr 15. Tulaeta wieczorowa z jasnego jedwabiu i czarnego haftowanego tiulu.

czystej, zapiętej z tyłu na drobne guziczki, oraz ze stanika, którego luźno odstające, wąskie przody rozchodzą się na białej, złotem haftowanej kamizelce. Przody te przybrane są w zęby wykrajaniem wyłogami z białego aksamitu i pokryte haftem. Wąski pasek z repsowej wstążki obciska stanik i chowa się pod przodami.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

PĄCZKI WYBOROWE.

Dwie kwarty pięknej mąki, pół kwarty dobrej słodkiej śmietanki, ćwierć funta drożdży rozczynić i pozostawić do wyrośnięcia. Następnie dodać 20 żółtek z cukrem ubitych, pół kwarty dobrego przetopionego masła, trochę skórki pomarańczowej, otartej na tarce. Ciasto wybijać godzinę, jak na baby, a kiedy od ręki odstawać zacznie, rozciągnąć cienką warstwę na stolnicy, nałożyć wiśniowemi, lub jakimi innemi konfiturami, pokryć drugą cienką warstwą ciasto z wierzchu i kieliszkiem wykrawać pączki i układać na stolnicy. Po wyrośnięciu smażyć na tychmiast na gorącym szmalcu, osączyć na sicie, ob-

sypać cnkrem z wanilią, lub posmarować wodnym lukrem i podać gorące. Z tej proporcji będzie 60—70 pączków.

TORCIK DOMOWY.

Funt mąki, funt masła, pół funta drobno siekanych słodkich migdałów, tyleż cukru, skórkę tartą z jednej pomarańczy, 3 całe jaja, 3 żółtka i sok z jednej cytryny, wymieszać, wyrobić z tego ciasto. Jedną połowę tego ciasta rozciągnąć na blasze okrągłej, masłem wysmarowanej, nałożyć konfiturami, jakie kto ma w domu, lub jakie lubi, pokryć drugą, również rozciągniętą warstwą ciasta, posmarować z wierzchu piórkiem w wodzie umoczonem, ubrać z wierzchu konfiturami, orzechami l t. p. i wstawić w piec na godzinę. Łatwy, tani i bardzo elegancko wyglądający torcik.

OBIAD NA NIEDZIELĘ.

1. Zupa neapolitańska z makaronem i parmezanem.
2. Sandacz po parysku.
3. Boeuf à la Rossini.
4. Groszek zielony po francusku.
5. Indyk z trufkami.
6. Ptysie w szodonie.

UWAGA.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.”



Nr 16. Ubranie wizytowe z frakowym stanikiem.

Nr 17. Suknia domowa z haftowanymi wyłogami